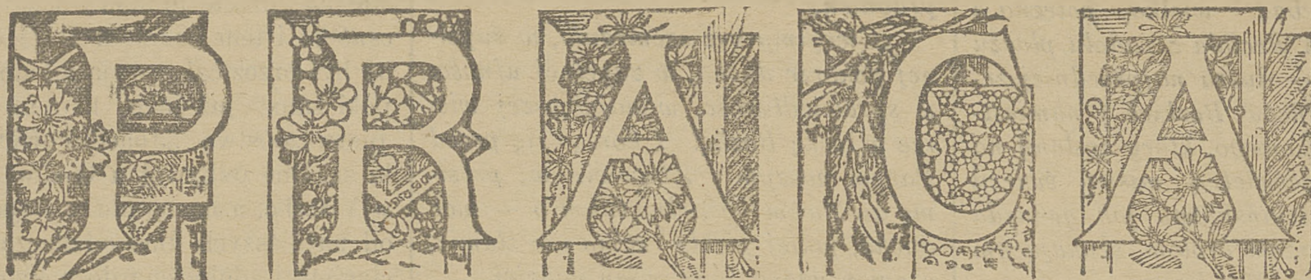
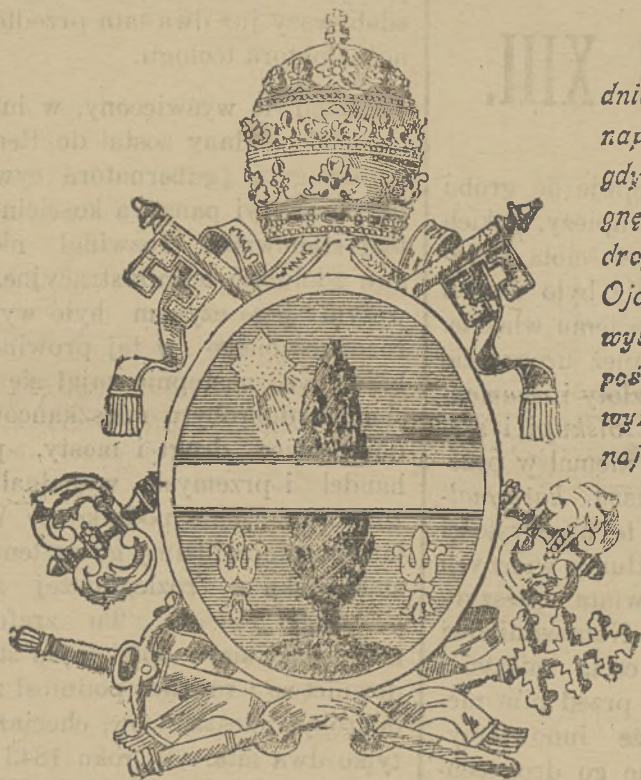
Nr. 30 Poznań, dnia 26-go lipca 1903. Rok VII.



TYGODNIK ILLUSTROWANY.



LEON XIII.



Z trwogą i z wzruszeniem stało chrześciaństwo temi dniami w duchu obok łoża Ojca św. Leona XIII. Nadzieja naprzemian z boleścią wstrząsały sercami naszemi, podczas gdy gorącemi modłami, słanemi do stóp Tronu Bożego, pragnęliśmy wyprosić u Ojca naszego niebieskiego przedłużenie drogiego życia tego, który w porządku duchownym był nam Ojcem na ziemi. Ale Pan Bóg był już lepszą cząstkę wybrał dla niego. Za trudy, za znoje, za pracę życia, poświęconego całkowicie dla chwały imienia Bożego a wywyższenia Kościoła jego świętego, gotował mu już Sędzia najwyższy wieniec sprawiedliwości i nagrodę nader obfitą.

Ojciec św. Leon XIII zakończył ziemską pielgrzymkę. Więc zmieńmy odtąd modlitwy nasze. Nie o przedłużenie już życia doczesnego, ale o oddanie najrychlejsze ś. p. Papieżowi Leonowi XIII żywota wiecznego, o chwałę niebieską, o światło wiekuiste dla duszy jego prośmy Boga Wszechmocnego.

Ażeby zaś Pan Bóg skrócił dni sieroctwa naszego duchownego i dał nam niebawem Pasterza według serca Swego, łączmy z temi modlitwami także pobożne prośby o rychły wybór nowego Papieża.

Tym końcem rozporządzam niniejszem, aby od chwili odebrania tej wiadomości na jakiejkolwiek drodze

1. we wszystkich kościołach obudwóch archidyecezyi naszych dzwoniono trzy razy na dzień po kwadransie aż do dnia pochowania ciała ś. p. Papieża,
2. aby w ciągu najbliższych dziewięciu dni, w których wystawione będzie ciało zmarłego Papieża odprawiono w dniu najdogodniejszym po stósownem parafian zawiadomieniu uroczyste nabożeństwo żałobne z wigiliami za duszę Ojca św.,
3. aby każdy z kapłanów odprawił jedną mszę św. za spokój Jego duszy,
4. aby we wszystkich mszach św., w których dotychczas dodawano modlitwę za Ojca św., w jej miejsce używano modlitwę o wybór papieża ze mszy wotywnej pro eligendo pontifice,
5. aby po każdej mszy św., kapłan z ludem odmówił trzy Ojcze nasz i trzy Zdrowaś Marya o szczęśliwy wybór nowego papieża.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański
† Floryan.

Dan w Krobi, dnia 20 lipca 1903.

Non omnis moriar.

Poszedł do wieczności!.... Zagasło „światło z nieba;“ wielka, potężna a gołębia dusza uleciała z padołu płaczu w zaświaty — dusza najprzedniejszego z pomazańców Bozkich i namiestnika Chrystusowego, który zesłany na ziemię z prześwietną misyą świecił światu chrześciańskiemu jak gwiazda przewodnia trzem królom, szukającym drogi do Dzieciątka Jezus.

Zasnął na wieki najmożniejszy z możnych tego świata — więzień, co z wyżyn skały Piotrowej sięgał głową niebios i panował nad duszami kilkuset milionów, niby świetny brylant lśnił w koronie monarchów wielkością swego powołania i swego ducha i z pośród śmiertelnych najbliżej był postawionym człowieka i zarazem najbliżej tronu Stworzyciela.

Zeszedł ze świata, rzucił ziemską szatę, rozwiał się w przezrocza, znikł jak tęcza i, zda się, świat cały spochmurniał, posmutniał, powlókł się kirem żałoby i — zubożał.

Lecz „nie całkiem umarł!“ Najlepszą cząstkę istnienia swego pozostawił nam w spuściźnie.

Pozostaje wyryte na kartach historyi imie wielkiego Papieża, pozostają Jego dzieła i niespożyte zasługi położone dla Kościoła, pozostaje świetny przykład świętobliwego i arcypożytecznego żywota, pozostaje — pamięć Ojca duchowego w sercach milionów, w których wzniósł On sobie pomnik trwalszy od spiżu. I w duszach Polaków żyć będzie echo słów pociechy....

„Non omnis moriar“ — mógł był wyrzec Ojciec św. Ale duch Jego zwrócony był ku Panu, przed którego obliczem miał stanąć, więc na słowa: „nasze modły uratują Cię,“ jak gdyby nie pragnął ratunku, nie pragnął odwlekać chwili zbliżenia się do Ojca Niebieskiego, odrzekł z poddaniem, z ufnością, z siłą ducha: idę do wieczności....

„Vale!“ — „Żegnaj!“ — wyszeptał do otaczających Go kardynałów, po przyjęciu ostatnich olejów świętych, a słowem tem żegnał niejako nieprzebrane miliony swych wiernych owieczek, które z łzą żalu, troską i trwożnem oczekiwaniem wybiegały myślą i sercem do żałobą okrytego Watykanu i słały gorące modły: pro pontifice infirmo.

Poszedł......

Osieroceni, pogrążeni w boleści wznosimy ramiona ku niebu, odpowiadając żałosnem echem:

Vale!....

I usta nas, Polaków, mimowoli składają się do pokornej a gorącej prośby: „O! Panie wielki, który stoisz przed tronem Najwyższego, wstaw się za nami w kajdany skutymi, bądź wyrazem naszych cierpień, naszych uczuć, naszych pragnień.

„Cierpimy bez szemrania, w zupełnej pokorze ducha, w zupełnej ufności w sprawiedliwość, w najgłębszej wierze w łaskę Bozką. I korząc się przed Panem naszym i Zbawicielem, prosimy za Twem pośrednictwem o — moc ducha, jakiej piekło samo nie złamie, o ogień wiary, o promień nadziei.....

„O! Panie! Padając w proch przed ojcem Niebieskim, błagamy za Twem pośrednictwem o spełnienie życzenia wszystkich życzeń naszych....

„Życzenie to tak wielkie i święte, że w słowa ubrać go nie śmiemy, lecz znane w języku serc naszych zakrwawionych i wszystkich duchów szczytnych...

„O! Panie, bądź Pośrednikiem uciśnionych i złóż to życzenie nasze przed tronem Wszechmocnego!... Módl się za Polskę!“

M. R. W.

† LEON XIII.

Z Leonem XIII zstępuje do grobu jeden z największych Papieży, jakich świat widział na czele Kościoła Bożego. Żadnemu z nich nie było danem dożyć tylu tryumfów, co jemu właśnie. Obchodził już jako Papież uroczyście trzy ważne jubileusze: złoty i *dyamentowy kapłańśtwa*, złoty *biskupi* i *srebrny papieski*, a umarł niemal w przededniu złotego jubileuszu *kardynalskiego.* Na wszystkie te uroczystości jubileuszowe ogromne tłumy wiernych ze wszystkich części świata spieszyły do Rzymu, niosąc Namiestnikowi Chrystusowemu hołd czci, miłości i wierności; korzyli się przed nim nietylko katolicy lecz także innowiercy-monarchowie, zasypując go drogocennemi podarkami. Ten, który objął rządy Kościoła w najtrudniejszej może dla Papiestwa sytuacyi — ujrzał jeszcze przed śmiercią Kościół i Stolicę św. w dawnym blasku i dawnem znaczeniu. Dziś zmarło tylko ciało jego, bo duch jego dalej będzie przyświecał światu katolickiemu i wskazywał mu drogę wśród przyszłych walk o Kościół Boży na ziemi.

Ten wielki Papież i człowiek pochodził z starej szlacheckiej rodziny, zamieszkałej w Carpineto w pobliżu Viterbo i mającej swoje posiadłości koło tego miasteczka. Był czwartym z rzędu synem, a szóstem dzieckiem *Ludwika Pecci*, pułkownika w gwardyi włoskiej Napoleona I. — oraz jego małżonki Anny *Prosperi Buzi*. Urodzony dnia 2-go marca 1810 roku, dostał na chrzcie imiona *Joachima Wincentego* i tem drugiem imieniem wołany był przez całą swoją młodość — dopóki sam, już jako kapłan, nie dał pierwszeństwa „Joachimowi.“ Nauki szkolne odbywał u Ojców Jezuitów w Viterbo, a następnie w *Rzymie* i już od najniższych klas odznaczał się pociągiem i zdolnościa do mówienia i pisania po łacinie i do oracyi. W roku 1823 a więc w trzynastym roku życia stracił matkę, która podobno wywarła decydujący wpływ na jego serce i umysł. Filozofię studyował następnie w Collegium Romanum w Rzymie, a w roku 1830 zapisał się tam na teologię.

Nie poszedł jednakże za przykładem starszego brata swego, późniejszego kardynała *Józefa Pecci*, który wstąpił do zakonu Jezuitów, lecz został świeckim księdzem i jako taki otrzymał w roku 1837 święcenia kapłańskie z rąk kardynała *Odescalchi*, zdobywszy już dwa lata przedtem godność doktora teologii.

Zaledwie wyświęcony, w lutym roku 1838 wysłany został do Benewentu na delegata (gubernatora cywilnego) tej prowincyi państwa kościelnego. Na tem stanowisku rozwinął niezwykłe swe zdolności administracyjne. Pierwszym jego czynem było wytępienie rozpanoszonego w tej prowincyi rozbójnictwa; następnie zajął się podniesieniem dobrobytu mieszkańców. Budował więc drogi i mosty, popierał handel i przemysł, wyjednał nawet znaczne zniżenie podatków. W trzy lata później widzimy go na tem samem stanowisku w rozleglejszej znacznie prowincyi *Perugii*. Tu zreformował znajdujące się w opłakanym stanie sądownictwo i również podniósł znacznie dobrobyt mieszkańców, chociaż rządził tylko dwa lata. W roku 1843 bowiem ówczesny Papież Grzegórz XVI, widząc ogromne zdolności i zalety ducha młodego kapłana mianował go — zaledwie 33 letniego arcybiskupem Damietty in partibus infidelium i wysłał jako posła czyli nuncyusza swego do Belgii.

Ta nuncyatura, to jedyny pobyt Leona XIII za granicami Włoch. Trwała ona również trzy lata. Głównem zadaniem nuncyusza było tam w ustawicznej walce między katolikami a nieprzyjaciołmi kościoła pod nazwą „liberałów,“ bronić jego praw i strzedz żeby go, o ile się da — najmniej skrzywdzono. Na tem stanowisku zabłysnął młody Biskup jako znakomity *dyplomata*. On też przygotował wówczas grunt do

hisiejszej przewagi katolicyzmu w Belgii.

Po krótkiej misyi w Anglii — wrócić musiał do Włoch. W roku 1845 umarł Biskup Perugii, a dyecezya wysłała deputacyą do Papieża, ażeby dał jej jako nowego zwierzchnika ks. Pecci, który tak dobrze zapisał się w pamięci dyecezyan jako cywilny gubernator. Grzegorz XVI spełnił tę prośbę. Ks. Pecci objął tamtejszą stolicę biskupią w roku 1846 — aby pozostać na niej przez długie lat 30. Zaledwie stanął na jej czele wydał pierwszy swój list pasterski, który traktując o cywilizacyi chrześciańskiej i społeczeństwie świeckiem w krótszym wykładzie zawiera już te same myśli i zasady, co sławna encyklika Leona XIII z roku 1878.

Te trzydziestoletnie rządy biskupie ks. Pecci w Perugii, to jedno długie, można powiedzieć nieprzerwane pasmo ciężkich przejść, cierpień i walk. W roku 1848 wybuchła i tam rewolucya przeciwko rządom papieskim, a chociaż trwała tylko krótko, dała przedsmak tego, co później się działo w całem państwie kościelnem. Za rozwagę mądrość i energię, okazaną podczas tych lat ciężkich, Pius IX w roku 1854 nagrodził ks. Pecci godnością *kardynała*. Wkrótce atoli miały spaść nań doświadczenia jeszcze straszniejsze. Przewrot, jaki w roku 1859 i 1860 nastąpił na półwyspie włoskim, który wytworzył nowe zjednoczone królestwo włoskie pod panowaniem dynastyi Sabaudzkiej, oderwał także dyecezyą perugiańską od państwa kościelnego. Nowy rząd, sprzyjający wszystkim prądom wrogim Kościołowi, usiłował i w tym nowym nabytku swoim podkopać, ba, złamać wprost powagę i znaczenie Kościoła, wydrzeć mu wpływ na wychowanie publiczne i wszelkie inne prawa. Kardynał Pecci nie należał atoli już wówczas do tych duchów słabych, które ustępują przed walką i niebezpieczeństwem. Im groźniejszy, bezwzględniejszy był napór rządu i jego czynników, tem śmielszą i energiczniejszą postawa Biskupa. Równocześnie zaś przeciwko przewrotnej i podstępnej *polityce* nowego rządu rozwinął on całą, potężną sztukę uczciwej swej a mimo to niemniej zręcznej dyplomacyi. I jej to zawdzięcza, że zdołał ochronić dyecezyą swą od ciosów jeszcze sroższych i wyjść z tej zaciętej walki z władzą świecką — obronną ręką.

Z podziwem spoglądano wówczas w Watykanie na te heroiczne zapasy Biskupa Perugii. Kapłan tej siły ducha i jasności umysłu potrzebny był także w Rzymie. W roku 1878 Papież Pius IX. powołał więc ks. Pecci między kardynałów *kuryalnych* i to od razu na stanowisko *„kamerlenga“* czyli zawiadowcy spraw świeckich papieztwa na wypadek interregnum.

Wypadek taki zaszedł już w dwa lata później. W roku 1878 umiera Pius IX. — nowy „kamerlengo“ ujmuje rządy w wątłe, lecz silne ręce — a konklawe wybiera go Papieżem.

Położenie Kościoła i stolicy apostolskiej było wówczas niezmiernie trudne. Cierpiany zaledwie w Rzymie, miał nowy Zwierzchnik Kościoła przeciwko sobie rządy trzech najpotężniejszych państw Europy: *Rosyi*, *Niemiec* i *Francyi*. Trudno dziś przesądzać, czy niezłomne „non possumus“ Piusa IX. byłoby w końcu wydało lepsze jeszcze rezultaty dla Kościoła, niż dyplomacya i zręczność Leona XIII. To tylko pewna, że wówczas stanowisko Piusa IX. groziło ciężkiemi stratami Kościołowi.

Nowy Namiestnik Chrystusowy zrywa więc z polityką swego poprzednika i rozpoczyna układy. Przedewszystkiem zwraca swą uwagę na *Niemcy*, gdzie walka kulturna rozbiła całą niemal hierarchię kościelną. Okoliczności prostują mu drogę. Wszechwładny Bismarck potrzebuje również zgody z Stolicą św. z przyczyn wewnętrznopolitycznych. Rozpoczyna się tedy między tymi dwoma mistrzami w sztuce dyplomatycznej turniej, któremu z wzrastającym podziwem przygląda się świat cały. W końcu szala zwycięztwa przechyla się na stronę Leona XIII. Bismarck idzie do Kanossy, między Niemcami, a Watykanem powstają stosunki przyjazne, które utrzymują się po dziś dzień.

Podobny sukces odnosi Leon XIII. wobec *Rosyi*. I tu osierocone dyecezye polskie otrzymują nowych biskupów, a w Rzymie rezyduje odtąd stale poseł carski. Najtrudniej postępuje sprawa z *Francyą*. Nie pomaga nakłonienie duchowieństwa francuzkiego do pogodzenia się z republiką, nie pomagają inne ustępstwa. Tu walka kulturna toczy się dalej, chwilami ostrzej, to znów słabiej, jednakże dzięki mądrości Leona najgroźniejszy atut antykościelny zerwanie konkordatu między Stolicą św. a Francyą, pozostaje po dziś dzień tylko gorącem życzeniem radykałów i socyalistów.

Najmniej zmienił się stosunek Stolicy św. do *Włoch*. Pamięć największej krzywdy, jaką wyrządzono w nowszym czasie Kościołowi, zaboru państwa kościelnego ze strony tego państwa, była jeszcze zbyt świeża, zbyt bolesna, aby nowy Papież i w tym kierunku zastosować mógł swoje pojednawcze usposobienie. Zresztą co się tyczy świeckiej władzy papieztwa Leon XIII. pozostał wierny zasadzie swych poprzedników. I on uważał słusznie istnienie państwa kościelnego chociażby w mniejszych rozmiarach za rzecz konieczną, niezbędną dla zapewnienia zupełnej niezależności stolicy apostolskiej i temu przekonaniu swemu dawał wyraz przy każdej sposobności Z niem żył, z niem umarł. Nie uznając nowego państwa włoskiego za ustrój legalny, wzbraniał katolikom włoskim stanowczo udziału w wyborach politycznych. Mimo to, cześć jaką wzbudzał zmarły Namiestnik Chrystusowy w całym świecie, zmusiła i rząd włoski do pewnego złagodzenia chociaż nie swej polityki, to przynajmniej swej taktyki antikościelnej.

Za to na całej kuli ziemskiej rozwój Kościoła katolickiego pod jego rządami był wprost wspaniały. W ciągu ćwierćwiekowego panowania Leona XIII. powstało przeszło *140 (sto i czterdzieści)* nowych dyecezyi z tyluż biskupami na czele; tysiące misyonarzy przebiegało wdłuż i wszerz *Afrykę i Azyą*, zakładając coraz nowe osady katolickie; dla wszystkich zaś umiał on pozyskać opiekę i poparcie państw europejskich, posiadających władzę lub wpływ w tych stronach. W *Anglii* liczba katolików wzrastała z dnia na dzień, a nawet wśród angielskiego Kościoła episkopalnego powstał silny prąd ku powróceniu na łono Kościoła rzymsko-katolickiego. Na wschodzie tureckim misye katolickie zajęły stanowisko dominujące; słowem wszędzie budzić się zaczęło nowe, świeże silne życie katolickie.

Ale i po za Kościołem i ściślejszemi jego sprawami nie było dziedziny, którejby nie był poświęcił baczniejszej uwagi. Żywy jego umysł zajmował się wszystkiem, co poruszało serca ludzkie i wstrząsało społeczeństwami. Żaden z Papieży ubiegłego stulecia, a może i wogóle nie zabierał głosu publicznie tylokrotnie, jak Leon XIII. Jego encykliki, pisane prześliczną łaciną, budziły żywe zajęcie także w niekatolickich kołach. Szereg ich bardzo długi. W roku 1878 wydał encyklikę o socyalistach i komunistach, po tem nastąpiła encyklika o miarodajnem znaczeniu filozofii św. Tomasza z Akwinu. Rok 1880 przyniósł nam encyklikę o małżeństwie; rok następny o władzy państwowej, rok 1884 o wolnomularstwie, rok 1885 o chrześciańskim ustroju państw. Słynną stała się jego encyklika „rerum novarum“ o *kwestyi robotniczej*, która zdobyła mu w kołach katolickich zaszczytny przydomek „Papieża robotników.“ W roku 1893 uka-

suje się encyklika o studyach biblijnych.

Jako umysł światły Leon XIII. okazywał zawsze wielkie poszanowanie dla nauki i sztuki. Otworzył *archiwa watykańskie*, a tem samem nieprzebrane źródło dokumentów do dziejów świata cywilizowanego. Aby je należycie wyzyskano zachęcał wszystkie narody do zakładania szkół historycznych w Rzymie.

Czas wolny od zajęć urzędowych poświęcał poezyi. Pozostawił ich dużo wyłącznie niemal treści religijnej w języku łacińskim, którego piękność i czystość zachwyca wszystkich latynistów.

Nie dziw więc, że ta postać tak wszechstronna, wsparta na najszlachetniejszym charakterze i niezłomnej wytrwałości, opromieniona prawdziwie apostolskim sposobem życia i pojmowania wysokiego swego stanowiska, zdobywała sobie licznych wielbicieli także po za kołami wiernych Kościoła katolickiego. Katolicy zaś, którym wskazał nowe drogi do życia, czynu i zbawienia, czcić w nim będą po wszystkie czasy *jednego z największych następców rybaka Piotra, gwiazdę przewodnią zarówno w szczęściu jak i w niedoli!*

Narodowiec.

Leon XIII a Polacy.

Polonia semper fidelis. W tych słowach da się zamknąć stosunek narodu polskiego do zgasłego Ojca świętego i Stolicy Apostolskiej. Ale określenie to maluje ten stosunek tylko blado; nie daje właściwego wyobrażenia o ogromie wiernopoddańczych uczuć wobec tronu papieskiego, o głębi przywiązania i o niezrównanej miłości, jaką naród nasz otaczał Leona XIII. Ogólna żałoba w tej chwili jest wymowniejszym wyrazem naszych uczuć.

Wszystkie gorące uczucia, jakie żywiliśmy dla Piusa IX., tego szlachetnego przyjaciela Polski, który wzywał wiernych do modłów za prześladowany kościół w Polsce — przelaliśmy bez zastrzeżeń na jego następcę. Pozbawieni politycznego bytu tem wyższą sympatyę czuliśmy do papieża, wyzutego z korony. Sami więźniowie kochaliśmy dostojnego więźnia z dziecięcą uległością i najgłębszą czcią. Pod tym względem nie daliśmy się prześcignąć przez inne narody katolickie i śmiało można nawet twierdzić, że górujemy w tym kierunku nad innemi dziećmi kościoła. U nas przywiązanie do Stolicy Apostolskiej zapuściło głębokie korzenie w podwaliny społeczeństwa, przeszło w krew narodu i stanowi jednę z najwybitniejszych cech psychologicznych Polaków. Nigdzie wiara nie jest tak absolutną, nigdzie cześć i przywiązanie tak szczerem jak u nas.

A nie dość, że Ojciec św. był dla nas jak dla innych katolików najwyższą głową kościoła i Namiestnikiem Chrystusowym; nasz bądź co bądź monarchiczny naród widzi w Ojcu świętym zawsze „il papa — re", najwyższego zwierzchnika na ziemi, króla i pana swego a w Najprzew. Arcybiskupie gnieźnieńsko-poznańskim — prymasa.

Wobec Stolicy Apostolskiej pełniliśmy z całą lojalnością nasz obowiązek i nie mamy sobie zgoła nic do wyrzucenia. W najcięższych chwilach staliśmy wiernie u stóp tronu papiezkiego, a najboleśniejsze ciosy, jakie Kościół przechodził w Polsce, nie zachwiały ani na moment naszego przywiązania. Niepomni na duchownych obcego plemienia, wyzyskujących swe stanowisko dla celów politycznych i antypolskich, spozieraliśmy zawsze ku Stolicy Apostolskiej, jako ku źródłu pociechy.

Wielki następca rycerskiego Piusa IX. cenił też uczucia nasze wysoko.

Aby stosunek Leona XIII. do Polaków jasno wyświetlić, musimy rozpatrzeć go na tle polityki Watykanu.

Gdy Kard. Joachim Pecci włożył tyarę stosunki pomiędzy Watykanem a Niemcami były jaknajgorsze, niemal rozpaczliwe. Nowy papież miał za przeciwnika tak zaciętego i bezwzględnego polityka jak Bismarck. Z jak nieporównaną zręcznością i z jakim politycznym taktem Leon XIII. potrafił ugiąć żelaznego kanclerza i zmusić go do pójścia do Kanossy — było przedmiotem podziwu wszystkich i odtąd datuje się wielkie znaczenie, jakie Stolica Apostolska miała w polityce wszechświatowej. Pod wrażeniem dwóch zamachów na życie cesarza Wilhelma i budzącej się socyalistycznej agitacyi w Niemczech nastąpił nad Sprewą korzystny dla Watykanu zwrot w usposobieniu i Ojciec św. tak pokierował sprawą, że państwo podało rękę Kościołowi, by stawić czoło partyi przewrotu. Bismarck wszedł w układy z papieżem i — rząd zaniechał walki kulturnej. Przez to i my zyskaliśmy bardzo, bo otworzyły się seminarya, zamianowano biskupów i wielu wygnanych duszpasterzy powróciło do kraju, chociaż nasuwało się wówczas pytanie czy dyplomacya watykańska nie poszła za daleko obdarzając Bismarcka orderem Chrystusa.

Odtąd stosunki z Niemcami ułożyły się pokojowo, a cesarz Wilhelm II. nadał im nawet serdeczne zabarwienie, raz dlatego by odebrać Francyi protektorat nad katolikami na Wschodzie, a powtóre by przez przyjaźń z Watykanem usposobić duchownych niemieckich jaknajprzychylniej dla rządu i zrobić z nich powolne jego sługi. Dlatego też zbyt przyjazny stosunek Prus z Watykanem nie leży wcale w naszym interesie.

Jeżeli po wstąpieniu na tron papiezki Leona XIII nastąpiło zbliżenie się Rosyi do Watykanu jest to dziełem kardynała Rampolli i jego polityki francuzkiej. Za jego bowiem inicyatywą Francya przyłożyła rękę do porozumienia. W r. 1893 ogłosił Ojciec św. encyklikę do biskupów polskich Przez to wprawdzie uznawał nierozdzielność narodu polskiego lecz mimo to encyklika ta niekorzystnie u nas zrobiła wrażenie, gdyż — spuszczając z oka prześladowanych unitów — zalecano w niej posłuszeństwo względem rządu. Wskutek tej encykliki Rosya zamianowała swego posła przy Stolicy Apostolskiej, co świat katolicki poczytywał naonczas za wielki tryumf. Ustępstwa jednak rządu petersburskiego okazały się pozornemi. Nie zaprzestano ścigać unitów i postępować samowolnie wobec biskupów Mamy jeszcze wszyscy w pamięci wygnanie ks. biskupa wileńskiego Zwierowicza. Występując przeciwko przyłączaniu dzieci katolickich do szkół cerkiewnych ks. biskup Zwierowicz działał na podstawie poleceń swego Zwierzchnika. Jednakże Watykan nie stanął dość energicznie w jego obronie tak iż nie instalowano biskupa Zwierowicza ponownie. Atoli dyplomacya papiezka uzyskała to, że rząd petersburski położył kres jego banicyi i zgodził się na oddanie mu innego biskupstwa, co poczytać można za dość znaczny w tych warunkach sukces.

Co się tyczy osobistych sympatyi zgasłego papieża do Polaków, to z pewnością nie były one tak gorące jak ze strony Piusa IX., ale jednak przy kilku okazyach miał

Ojciec św. dla nieszczęsnych Polaków słowa pociechy, które zapisaliśmy sobie głęboko w wdzięcznej pamięci. I tak podczas pielgrzymki z wschodniej Galicyi wyraził Leon XIII. do ks. arcybiskupa Bilczewicza swe uczucia dla Polaków. A prof. Dębicki z Krakowa, który w kilka dni po ogłoszeniu encykliki polskiej miał szczęście być przyjmowanym przez Ojca św., usłyszał z ust Jego te słowa:

„*Naród, który tak wiele dla wiary przecierpiał, będzie miał wolność religijną* — a po namyśle dodał Leon XIII. — *zostanie oswobodzony z jarzma.*“

„Kilkanaście lat wcześniej — opowiadał prof. Dębicki — miałem również to szczęście z ust Piusa IX. usłyszeć gorące słowa miłości ojcowskiej dla Polski i Polaków i stwierdzić to muszę, że w dwóch tych pamiętnych na całe życie chwilach doznałem największej pociechy, iż Bóg tchnął tyle miłości dla nieszczęśliwego narodu w dwa wielkie serca dwóch wielkich Papieży.“

Chociaż zatem Leon XIII. nie okazał czynem swej życzliwości dla nas w tej mierze co jego poprzednik, niewątpliwie miłował wiernych polskich synów Kościoła i rozumiał ich pragnienia.

Można przeto przypuszczać, że gdyby było danem Leonowi XIII. dłużej sterować łodzią Piotrową, byłby wysłuchał skargi Górnoślązaków, skarcił ks. kardynała Koppa i tych księży niemieckich, którzy usiłując niemczyć wierny lud polski, odstręczają go od praktyk religijnych, popychają w ramiona partyi przewrotu i którzy stali się stokroć gorliwszymi sługami protestanckiego rządu aniżeli swego Kościoła.

Quis.



Powódź w Krakowskiem.

Od czasów, których dzieje przekazały nam już pisane kroniki, a więc od dwunastego wieku, miasto *Kraków* i jego okolica niejednokrotnie nawiedzane były wielkiemi wylewami Wisły i klęskami powodzi. Sprawiała to bliskość gór, Beskidów, Tatr, Karpat, z których wypływa Wisła i cały szereg jej dopływów. W razie więc nagłego stopnienia śniegów na wiosnę lub długotrwałych ulewnych deszczów, gromadząca się w górach woda spadała ogromną masą do rzek i strumieni, spływała wraz z innemi na doliny i niziny, a nie mogąc się pomieścić w ciasnych rzecznych korytach, zalewała wszystkie niżej położone grunta. Z powodu zaś bliskości gór, a więc wobec niewielkiej tylko przestrzeni, jaką spienione nurty rzeki i strumieni przebyć muszą, zalew następował zwykle z szybkością niemal błyskawiczną, która uniemożliwiała wszelki ratunek owoców pracy ludzkiej, a często niestety i życia ludzkiego.

Powodzie takie nawiedzały Kraków — według zapisków kronikarskich mianowicie w latach w roku 1270, 1358, 1468, 1475, 1495, 1593, 1605, 1774. Zapewne zdarzały się częściej, lecz nie wszystkie zapisano w kronikach. Za największą, najstraszniejszą dotychczas uważano w Krakowie powódź roku 1813. Znaki, wykazujące ówczesny stan wody na jednym z domów nad Wisłą, wzbudzały podziw przechodniów. Dziś nikt im się już nie dziwi.

Zalew bowiem, jaki nawiedził miasto Kraków i okolicę przed tygodniem o czem już po krótce donieśliśmy, był, jeśli się weźmie w rachubę znaczne od roku 1813 pogłębienie koryta Wisły — nawet wyższym od tego tak pamiętnego z czasów napoleońskich.

* * *

Dał on się we znaki całej zachodniej części *Galicyi*, najbardziej atoli dawniejszemu księstwu krakowskiemu. Sianokosy, zboża na pniu, ziemniaki, jarzyny i wszelkie wogóle płody rolne oraz mnóstwo budynków wiejskich, płotów, stert, drzew owocowych — padło ofiarą rozhukanego żywiołu. Dla kraju rólniczego klęska to niczem nie powetowana, znacząca ślady na cały szereg lat następnych, zwłaszcza, gdy się zważy, że już trzy z rzędu poprzednie lata darzyły tę część naszej ojczyzny długotrwałemi ulewami i lokalnemi mniejszemi powodziami. Nie potrzeba być agronomem, aby zrozumieć, co znaczy dla rólnika, gdy przepada mu cały jeden sprzęt siana i zboża. Zrujnowany inwentarz żywy i martwy, podcięta cała uprawa roli, wyrwany z budżetu caloroczny dochód w gotówce, brak chleba dla domu i czeladzi — to *ruina!*

Ruina dla obszarów dworskich, *nędza dla chłopa,* żyjącego z kilku morgów lub nawet tylko z kilku zagonów. Ci, którzy wyjechali w świat za zarobkiem, wrócą do zburzonych chat i pustych pól; ci, co pozostali, nie mają gdzie głowy złożyć, braknie im kawałka chleba na dziś, nie mają nadziei zdobycia go jutro bo rola nie da im nawet pustej słomy.

Dziesiątki na setki wiosek na przestrzeni od *Oświecimia* do *Szczucina, Bochni, Sącza, Żywca, Krakowa* skazane dziś na *głód.* A równocześnie nad tą zgłodniałą rzeszą polskiego ludu unosi się już widmo epidemicznych chorób i upatruje swoje ofiary.

Zrujnowany także drobny mieszczanin i robotnik w miasteczkach przyrzecznych i na przedmieściach krakowskich. Miał mało, bardzo mało, ot: „gratów“ kilka i warsztat w wilgotnym niskim domku lub w suterenach. I ten dobytek zabrała lub zniszczyła mu woda. Potrzeba lat, aby z oszczędności skradzionych głodnym żołądkom, zdobyli się na sprzęt nowy. Już przedtem dogryzało im bezrobocie, zastój przemysłowy w całym kraju. Żyli naprzód, nadzieją lepszych czasów, za pieniądze pożyczane na lichwę od żyda. Teraz stracili resztki mienia. Gdy woda opadła wrócili z żonami i dziećmi do przesyconej wilgocią nory, aby załamać ręce w niemej rozpaczy....

* * *

Daremnie bym się silił dać wam obraz klęski tej, obejmujący wszystkie dotknięte nią okolice i miejscowości. Na to potrzeba by bowiem — kilku conajmniej tomów. Aby jednakże Czytelnicy „Pracy“ mieli chociaż w przybliżeniu wyobrażenie o rozmiarach powodzi, opiszę wam pokrótce jak się przedstawiała w samym Krakowie.

Kulminacyjnego punktu dosięgnął stan wody w niedzielę dnia 12 bm. Kraków budził się w dniu tym, o ile spał wogóle — pod grozą niebywałej katastrofy. W nocy przybyły wezbranej Wiśle w sukurs karpackie dopływy, między niemi *Soła,* która już w swojem dorzeczu ogromne sprawiła spustoszenia. Zagrożona zachodnia część miasta i przedmiejskie gminy już w nocy uczuły silny napływ wody. O godzinie 7 rano wody *Rudawy, Wisły* i *Wilgi* wtargnęły z jednej strony na Podgórze, z drugiej do wnętrza Krakowa. W południe z zachodnich zrębów *Wawelu* taki przedstawiał się widok:

Od Krzemionek po prawym brzegu Wisły, aż daleko na północ i na zachód po Wolę, jedno olbrzymie jezioro żółtej falującej wody. Całe Dębniki pod wodą, która miejscami sięga pod dachy niżej położonych, parterowych domów. Widać jakiś olbrzymi galar. Nie wiedzieć czy stoi przy brzegu, czy już w łożysku Wisły, bo brzegi w tych masach wód gdzieś się zatarły. Na galarze kilkanaście ludzi mężczyzn, kobiet i dzieci, widać poduszki i pierzyny. Biedacy zabrali z sobą swoje ruchomości na galar, bo bezpieczniej im na

mm, niż w dotychczasowym „domu mieszkalnym“.... Koło willi Rożnowskiego płynie wartkim pędem istna rzeka i zlewa się z głównym biegiem Wisły, która huczy złowrogo, pieni się, unosi belki i dachy, kopice siana, beczki, wozy, nawet bydło, a czasami i ciała ludzkie....

„Ku północy wszystko pod wodą. Most kolejowy wytrzymuje napór, chociaż woda z kretesem pokryła olbrzymie kamienne filary i obmywa przyczółki. Widać także wierzch mostu zwierzynieckiego nad Rudawą. Długi szereg wierzchołków drzew znaczy drogę, prowadzącą z ulicy Wolskiej do toru wyścigowego i gościńca. Na południowy zachód od Dębnik widać dachy domów w *Zakrzówku* i w *Ludwinowie*, zewsząd oblane wodą, która nieprzerwanie faluje ku Podgórzowi i opiera się o Krzemionki. W Krakowie łączy się z tem jeziorem część ulicy Bernardyńskiej i Rybaków. Skałka oblana z zachodu wodą.“

Dzień to był straszny — lecz nad tym obrazem klęski przyświecało jasno i gorąco słońce lipcowe. Więc cały Kraków wyległ na oglądanie powodzi. Nieprzeliczone tłumy snuły się od rana do późnego wieczoru po wale kolejowym od ulicy *Karmelickiej aż za Dębniki*, mając ciągle przed oczyma straszliwy, ścinający krew obraz. — Poza wałem cała przestrzeń od parku Krakowskiego aż do Podgórza zmieniła się w olbrzymie jezioro. *Czarna Wieś*, gościniec, pola, łąki i domy zalane. Stare niskie chaty *prawie po strzechę tonęły w wodzie. — Już rano trudno było rozpoznać, gdzie pola, łąki i ogrody, bo płoty i parkany albo przez powódź uniesione, albo całkiem zalane zostały.* Idąc wałem kolejowym od Czarnej Wsi, od strony miasta widziało się całe ulice, place i ogrody, zmienione w jeziora. Ulica Czarnowiejska, nigdy nie doznająca zalewów, w ciągu dnia cała została zalana, dalej Czysta, Żabia, most na Rudawie w ulicy Żabiej wodą pokryty, a przy rogatce *wolskiej* niebywały przedstawiał się oczom widok. Do mieszkań parterowych wlewała się woda, latarnie gazowe tonęły w wodzie, ze słupa przystanku kolei elektrycznej widać było tylko tabliczkę z napisem. W oknach zatopionych domów pełno osób, nawołujących o łódki, lecz niestety daremnie. *Łódek brakło!*

Cud wobec tego, że ludzie ci z życiem ujść zdołali...

Akcya ratunkowa była wogóle bardzo nieudolna. Zdawało się, że nasze władze miejskie i rządowe wobec tak ogromnych rozmiarów klęski potraciły głowy. Brakło nietylko łódek, ale także podwód do przewożenia zagrożonych, brakło kozłów i desek do urządzenia chodników ponad wodą wzdłuż domów, brakło żywności dla powodzian. Najwydatniejszą jeszcze okazała się pomoc *wojska*, którego naczelna komenda uczyniła co mogła, aby zmniejszyć okropność klęski. Pontony pionierów i wozy trenu były w ciągłym ruchu, przewożąc zalanych na miejsca bezpieczne.

Jeźli katastrofa takie przybrała rozmiary w *Krakowie* to łatwo wyobrazić sobie można, co się działo po wsiach.

Skromnie licząc, poniosło straty w samym powiecie krakowskim do 30,000 ludzi!...

Podobne spustoszenie sprawiły: W okolicy *Oświecimia* rzeczka *Soła*, w *Zatorskiem Skawa*, w okolicy *Bochni Raba*, w okolicy *Biały* rzeczka *Białka*.

Dziś gdy wody opadły ocenić już można w przybliżeniu ogrom wyrządzonych przez nie szkód. Obliczają je na *20 milion koron* — czyli około *17 milionów marek*.

Dziś akcya ratunkowa w pełnym biegu. Aby naocznie przekonać się o rozmiarach klęski przybyli: z Wiednia minister rolnictwa *Giovanelli*, ze Lwowa namiestnik hr. *Potocki*. Ostatni ma teraz najlepszą sposobność do okazania sławionej swej energii. W mieście powstało kilka komitetów ratunkowych, które zbierają składki po domach, na ulicach, w kawiarniach i restauracyach. Datki napływają obficie. Rada miejska i rada powiatowa wysłały *deputacyą do prezesa ministerstwa dr. Koerbera* z prośbą o znaczną doraźną pomoc. Koerber przyrzekł, że rząd uczyni *dużo*. Czy tylko dotrzyma słowa? Za fundusze wyznaczone przez namiestnictwo, miasto i powiaty oraz zebrane ze składek, rozdaje się obecnie żywność powodzianom i drobne zasiłki na początek. Społeczeństwo czyni co może, ażeby złagodzić nędzę ludu — lecz ogólne panuje zdanie, że nie byłoby takiej klęski, gdyby władze nasze równą energią były okazały poprzednio przy przeprowadzeniu środków — zapobiegających powodziom.

Klęska tegoroczna ten jedyny dobry też dziś wyda skutek, że pod presyą opinii władze nareszcie na seryo zabiorą się do regulacyi rzek naszych.

O. M.



Germanizacya na obczyźnie.

***Helbra* (Saksonia) 8 lipca.**

W Helbra mieszka około dwóch tyś. Polaków. Kościół katolicki i księdza mamy tu od roku 1884. Kościół ten należy do parafii Eisleben, (miejsce urodzenia Marcina Lutra) jako kościół filialny z osobnym księdzem mansyonarzem. Polacy przechodzili tu różne koleje, ponieważ pod względem językowym nic się tu dla nas nie czyni. Księży mieliśmy rozmaitych, niektórych życzliwych, ale głównie takich, którzy wprost wrogo przeciwko nam występowali, z drugiej strony — szkoła ośmioklasowa katolicka z 8 nauczycielami i miejscowym księdzem na czele jako inspektorem. Po większej części Polacy należą do Männervereinów i Bractw kościelnych oraz towarzystw z niemieckim charakterem, w których ksiądz przewodzi. Młodzież liczna *doszczętnie zgermanizowana*. Co do dzieci szkólnych, chociaż to dzieci prawie samych Polaków, tak są biegłe w niemieckim języku, że *unikają polskiego i na polskie zapytania nie dają wcale polskiej odpowiedzi*. To dzieło nauczyciela i księdza.

Chociaż nas Polaków traktowano po macoszemu, chociaż dzieci nam za pomocą kościoła na gwałt germanizowano, wciągano nas na gwałt do Männervereinów i zwalczano na wszelki sposób polskie towarzystwa, przynajmniej dotąd nie zaczepiano z ambony imienia polskiego.

Jednakże w przeddzień wyborów, w toku kazania nasz ksiądz upominał surowo, że przestaje być katolikiem ten, kto głos swój na socyalistę odda, chociaż sam zaraz potem dodał, że to na ambonę nie należy. Nas Polaków te napomnienia bynajmniej nie uraziły, bo prawdziwy Polak i katolik socyaliście głosu nie odda. Ale na tem nie koniec. W niedzielę dnia 21 z. m. na głównem nabożeństwie pozwolił sobie nasz ks. mansyonarz znowu polityczną wycieczkę na kazaniu. Tym razem potępiał zachowanie naszych rodaków wobec kościoła, (eure Landleute in Polen, Osten und Schlesien). Nie mówił wprawdzie o powodzie, alеć nie co innego jeno wybory miał na myśli. *Hasło ks. Kardynała Koppa psuje i tu umysły.*

Nie jesteśmy zaś tutaj w tem położeniu, ażebyśmy mogli założyć energiczny protest przeciwko zachowaniu się księży jak to czynią rodacy gdzieindziej.

Dla lepszej charakterystyki wspomnę, jaką to szczególniejszą ojcowską opieką obdarza nas kościół. Mieliśmy tutaj od palmowej niedzieli aż do poniedziałku wielkanocnego włącznie misyą św., sprowadzono dwóch misyonarzy Niemców a jednego Polaka. Rozkład nabożeństw na owej misyi nasz ks. tak zręcznie urządził, aby stworzyć *sztuczną* liczbę niemieckich słuchaczy. Chociaż w kościele byli prawie sami Polacy, nazna-

czono rano po sumie każdego dnia najpierw niemieckie a potem polskie kazanie. Po południu tak samo rozpoczęto niemieckim różańcem nabożeństwo, potem niemieckie kazanie, a w końcu polskie. Przez taki rozkład nabożeństwa, wzięto tylko wzgląd na garstkę Niemców a z nami Polakami wcale się nie liczono. Niemcy zatem będąc na nabożeństwie, wysłuchali swego kazania i szli sobie do domu, a my Polacy chcąc wysłuchać polskiego kazania musieliśmy na nie do ostatka czekać. Siedzieliśmy zatem po 3 i cztery godziny w kościele bez przerwy. Rozumie się, że przy takim rozkładzie kazań polskich nie wszyscy rodacy mogli z nich korzystać, ale z tego sobie ks. proboszcz żadnej nie zdawał sprawy. To go mało obchodziło.

Niejeden musiał wychodzić do domu przed czasem a szkoda wielka, bo mieliśmy bardzo dobrego kaznodzieję Polaka. Był on tu najlepszym kaznodzieją. Po drugie, niemieccy kaznodzieje prawili kazania po półtorej godziny i dłużej, jak im się podobało. Nieraz też nadmienił nam polski kaznodzieja, że kazał by jeszcze dłużej, ale nie może dla spóźnionej pory i t. d. A zatem czas zabrały niemieckie nauki. Czytelnik pomyśli, że przecież mógł ksiądz miejscowy rozłożyć tak: nabożeństwo polskie osobno i niemieckie, jak ludziom najdogodniej. I my też właśnie tego spodziewaliśmy się. Ale było w tem wyrachowanie z strony księży. Zdarzyć by się tu łatwo mogło, że na niemieckiem kazaniu nie byłoby wcale słuchaczy. A sprowadzili dwóch misyonarzy niemieckich, chociaż rzeczywistych Niemców, jak powyżej nadmieniłem, niewielu tutaj, więc nie mieliby przemawiać do kogo, gdyby Polacy nie przyszli. Trzeba więc było chwycić się fortelu. Polski ksiądz dwa razy do roku nas odwiedza, wtedy też nam wygłasza polskie kazanie, ale zawsze na ostatku, to jest po sumie albo po nieszporach. Wogóle Polacy, chociaż to większość, są tu zawsze na ostatku. Szczególniejszą specyalnością naszego teraźniejszego księdza jest to, że gdy tu bawi polski ksiądz, staje przy ławeczkach dziecięcych w kościele *i nie pozwoli dzieciom szkólnym być na polskiem kazaniu, i formalnie je z kościoła wypędza.*

Chociaż nas tu w tak bezwzględny sposób upośledzono, pokrzepiło to nas jednak na duchu. Słowa kapłana rodaka wydały obfity plon. Było też ponad jego siły 9 dni samemu dwa kazania dziennie wygłaszać, bo ostatniemi dniami silny jego organizm praca wyczerpała. Potem zaś w konfesyonale sam jeden tylu miał spowiadających się, chociaż *prawie połowa rodaków spowiadała się u księży niemieckich. Okolicznościami jesteśmy zmuszeni po niemiecku się spowiadać.* Każdego dnia też w czasie misyi po skończonem polskiem kazaniu było też z względów wyżej wymienionych wielkie oburzenie na naszego księdza. A najbardziej polskie niewiasty szemrały. One też tą sprawą były najbardziej dotknięte. W końcu misyi kilkakrotnie uniewinniali się księża niemieccy wobec swoich rodaków i prosili ich, aby ostatniego dnia pozostali w kościele aż po polskiem kazaniu, bo na ostatku będzie udzielone błogosławieństwo papiezkie, i przysięga na wierność papieżowi i biskupowi w niemieckim języku zakończy misyę. Przy wojsku składa się przysięgę w języku ojczystym, a tu po — niemiecku! Bardzo nam też nasze serca się ścisnęły, gdy polski ksiądz przemawiał do nas w te słowa: „Dziś popołudniu będzie jeszcze na zakończenie krótka polska nauka, ale króciutka tylko, ze względu na Niemców, bo i Niemcy w kościele pozostaną.“ *Słowa te z ust kapłana rodaka były dla nas gorzką ironią.* Przypuszczamy, że on temu nie winien, bo był nam bardzo życzliwy. Jemu jak wogóle każdemu innemu wszystko podyktowano. Zresztą jak zapowiedział tak też wypełniono; niemiecki kaznodzieja odebrał przysięgę od nas *po niemiecku i kazał godzinę i 20 minut, a po nim ksiądz polski 17 minut i na tem koniec.* Kończąc moją korespondencyę, poddaję niniejszą sprawę pod sąd Czytelników i ludzi dobrej woli. *G.*

* * *

Kto chociaż trochę umie czytać pomiędzy wierszami znajdzie w powyższym liście przyjaciela „Pracy“ dowód, jakie postępy robi germanizacya pomiędzy naszymi wychodźcami na obczyźnie. Zapatrzeni na naszych Westfalczyków, którzy tak mężnie i dzielnie stawiają czoło germanizatorskim zakusom, łudzimy się, że tak jest w wszystkich miejscowościach, gdzie lud nasz szuka chleba. A tak niestety nie jest.

Z listu tego okazuje się, że rodakom w Helbra daleko do tego uświadomienia i hartu ducha, który cechuje np. wiarusów w Bitterfeldzie. Zdrowy rozsądek mówi, że Polacy nie powinni bywać w kościele podczas niemieckich kazań, tem więcej, że wiedzą, iż księdzu proboszczowi o to chodzi, aby „stworzyć sztuczną liczbę niemieckich parafian.“ Dalej kto ich zmusza do spowiadania się po niemiecku? Jeźli księża niemieccy siedzą w konfesyonałach bezczynnie — to niech siedzą. Wtedy proboszcz przyjdzie do przeświadczenia, że niepotrzebnie sprowadził niemieckich duchownych i że potrzeba więcej polskich misyonarzy. Dalej kto ich zmusza do składania przysięgi w języku niemieckim? Wielu nie rozumie wcale co przysięga, więc jakżeż przysięga taka ma być Panu Bogu miłą? Toż przecież nie chodzi o to, aby ludzie powtarzali niby papugi niezrozumiałe słowa za księdzem, lecz aby przejęli się słowy przysięgi i wznieśli ducha do nieba. A do tego trzeba dobrze rozumieć, co się mówi. Wreszcie czemu to Polacy w Helbra nie zaprotestują przeciw napaściom z ambony na Polaków? Czy Polacy tamtejsi myślą, że wskórają cośkolwiek u księdza-germanizatora jagnięcą swą uległością?! Czyż się nie wstydzą, pozwalając się tak lekceważyć? Powinni oni wybrać ze swego grona kilku światłych ludzi, posłać ich na probostwo i krótko, zwięzłowato a śmiało życzenia przedłożyć proboszczowi. Dopóki ksiądz nie nauczy się szanować Polaków, póty będzie uważał ich za bydełko, które trzeba oświecić przez — germanizacyą.

W świetle tego listu położenie i przyszłość Polaków w Helbra przedstawia się *bardzo smutnie.* Brak tam ludzi uświadomionych, Polaków gorąco czujących, którzy utworzyliby *polskie* stowarzyszenia, odciągnęli rodaków od związków niemieckich, a brak tam bodaj matek polskich, które położyłyby kres niemczeniu dziatwy polskiej. Zbudźcie się, bracia, do życia! Weźcie sobie za przykład rodaków w Bitterfeldzie! Pamiętajcie, że język ojczysty to skarb, którego nikt nie ma prawa wam wydzierać. Niech *godność narodowa* i osobista przyświeca Waszym czynom, a matki-Polki uczcie dzieci na elementarzach! Jeźli rodacy na obczyźnie nie mają się wstydzić za Was, jeźli rodacy w kraju nie mają was się wyprzeć jako złych Polaków — musi tam zawiać całkiem inny duch.

Ordon.



Z TYGODNIA.

Bóg cudu nie zesłał; pozostało więc w mocy odwieczne prawo natury, które kładzie kres ludzkiemu życiu, gdy dopełni się miara jego żywotności. Prawu temu uległ także *Leon XIII.* Snać Bóg uznał ziemskie Jego zadania już za spełnione, a dłuższy pobyt na ziemi jedynie za mękę i utrapienie dla niego. *Z Jego dopuszczenia wielki Papież zamknął swe oczy na wieki w poniedziałek dnia 20-go lipca o godzinie czwartej po południu.*

Jakkolwiek spodziewano się tego już od dwóch tygodni, wrażenie, jakie

wieść o zgonie Leona XIII. wywołała — było wszędzie ogromne. Ze wszystkich stron napływać zaczęły do Watykanu telegramy i pisma kondolencyjne. Grubą żałobą pokrył się świat katolicki, a i niekatolickie narody ogarnęło przeświadczenie, że zeszedł z tego świata mąż wielki, mąż dobry według słowa Bożego, mąż którego imię po wszystkie czasy oznaczać będzie *epokę* w dziejach ludzkości. Rozczulającym wprost jest telegram, jaki tak bardzo nam sympatyczny monarcha *Austryi*, cesarz *Franciszek Józef* wystósował zaraz po otrzymaniu wieści o śmierci Papieża do nuncyusza papiezkiego we Wiedniu Kardynała *Taliani*. Telegram ten brzmi:

„W chwili, kiedy wiadomość o śmierci Najwyższego Pasterza pogrążyła świat katolicki w głębokiej żałobie, leży mi na sercu, by Waszej Eminencyi wyrazić niezmierny ból, jaki powoduje droga i przez cały świat głęboko odczuta strata. Miłość dziecięca i nieograniczone uwielbienie, jakie żywiłem dla Ojca św. i Jego życia, towarzyszyć będą zmarłemu. — Wieczna pamięć Jego będzie zawsze błogosławioną. Po wszystkie czasy zapewnione jest Mu wybitne miejsce w rocznikach naszego św. Kościoła.“

Ta enuncyacya seniora monarchów katolickich wyraża wierne uczucia całego świata katolickiego wobec otwartej jeszcze trumny Leona XIII.

Ostatnie dni życia wielkiego Papieża były już tylko straszną walką silnej natury z nieuniknioną śmiercią. Właściwa agonia rozpoczęła się w ów pamiętny poniedziałek o godzinie pół do dwunastej. Przywołano wówczas wielkiego penitencyarza ks. kardynała *Vanutelliego*, który udzielił choremu absolucyi in articulo mortis i odmówił modły za konających.

Łoże chorego otaczali wszyscy obecni w Rzymie kardynałowie, część urzędników watykańskich i posłowie *Francyi* oraz *Hiszpanii* wraz z swymi sekretarzami. Podczas modłów chory otworzył oczy, odzyskał na chwilę przytomność i z ostatnim wysiłkiem miał powiedzieć: *„Wszystkim obecnym polecam Kościół.“*

Troska o Kościół Boży zajmowała go więc jeszcze w chwili konania. Potem opuściła go znów przytomność, ciało zaczęło się wyprężać — głowa opadła na poduszki, jeszcze jedno ciche westchnienie i wraz z niem dusza Leona, dusza czysta, świetlana uleciała w niebo.

W Kościele Bożym zapanowało — *interregnum* — zabrakło widomej głowy, zabrakło Namiestnika Chrystusowego na ziemi. W dziesięć minut po zgonie kardynał Kamerlengo Oreglia objął intermistyczną władzę najwyższą, którą sprawować będzie aż do wyboru nowego Papieża.

Kto nim będzie, na kogo wybór padnie, to pokryte jeszcze ścisłą tajemnicą. Pewnem jest tylko to, że wybór odbędzie się zupełnie swobodnie, że nie wpłynie nań żadna świecka potęga.

Ćwierć wiekowe rządy *Leona XIII.* postawiły Kościół i Stolicę św. znów tak wysoko, że dziś żaden władzca świecki nie ośmieliłby się nawet narzucać swej woli świętemu kolegium. Wieść, jakoby *Austrya, Francya i Portugalia* zamierzały skorzystać z swego historycznego prawa „veto“ w razie wyboru niesympatycznego im kardynała, są jedynie czczym wymysłem i życzeniem żydowsko „liberalnych“ pismaków.

Nasamprzód odbędą się *uroczystości pogrzebowe*, które potrwają *9 dni;* „conclawe“ rozpocznie się więc dopiero w ostatnim dniu lipca. W kołach watykańskich przypuszczają, że proklamacya nowego Papieża nastąpi prawdopodobnie już 2-go sierpnia. „Conclave“ nie potrwa bowiem dłużej, jak dwa do trzech dni.

Wobec zgonu *Leona XIII.* schodzą na drugi plan wszystkie inne, zresztą niezbyt ważne sprawy polityczne, jak zmiana gabinetu w *Hiszpanii* lub wewnętrzne walki w *Austryi* i w *Francyi.* Nawet monarcha *angielski* odczuł ważność tej chwili. Wybrał on się wraz z małżonką do katolickiej *Irlandyi,* aby obecnością swą pozyskać sobie lud irlandzki. Zaledwie atoli stanął w stolicy Irlandyi w *Dublinie* — nadeszła wieść o śmierci Leona XIII. W jednej chwili znikły z domów i ulic barwne dekoracye, wzniesione na cześć pary królewskiej, a na ich miejsce pojawiły się chorągwie czarne, żałobne. Lud zaś stronił wszędzie od uroczystości powitalnych. Wobec tego niezawodnie para królewska, szanując tę żałobę katolickich swych poddanych, przerwie podróż i odłoży ją na czas późniejszy.

Tak, żałoba jest ogólna w świecie katolickim, a towarzyszy jej troska o przyszłość. Po śmierci męża tej miary, wytwarza się mimowolne zaniepokojenie, czy jego następca sprosta doniosłemu zadaniu głowy Kościoła, czy i jakie nowe wniesie ze sobą czynniki? To kwestya zajmująca dziś nietylko świat katolicki, lecz *wszechświatową* opinią publiczną. Jakże ważną zaś jest ona dla *nas Polaków,* pozbawionych politycznego bytu, związanych z Kościołem, wiarą i dziejową tradycyą....

Nam dziwić się nikt nie może, że nawet z obawą spoglądamy w przyszłość. Wiemy co było, i jak było, nie wiemy co będzie? Ostatniemi zwłaszcza czasy przeobraziły się znacznie stosunki katolickiej ludności polskiej do duchowieństwa, mianowicie na *Śląsku i w Prusach Zachodnich.* W zaborze *rosyjskim* ponowiły się ataki na katolicyzm ludności polskiej. Czy więc następca Leona XIII zdobędzie się na skuteczną obronę ludności polskiej, z której rąk wytrącono broń politycznej niezależności? Oto pytanie, które niepokoi nas w tej chwili, gdy cały świat katolicki okrywa się żałobą z powodu zgonu jednego z największych Papieży!

K. O.

Przegląd prasy.

W sprawie *związków zawodowych* wystąpili dwaj duchowni XX. prałat *Stychel* i mansyonarz *Mayer* z długim artykułem, w którym uzasadniają swe stanowisko, nieprzyjazne polskiemu związkowi. Jednakże wywody ich, które dla braku miejsca tylko w skróceniu przytaczamy, nie przemawiają do nas. Wszystko co słyszeliśmy z ust wzmiankowanych duchownych i wszystko co piszą w obronie swego stanowiska — utwierdza nas tem więcej w przekonaniu że Polacy powinni przystępować *jedynie do polskich związków*. Okazuje się też, że XX. Stychel i Mayer zajmują pod tym względem stanowisko jeźli nie całkiem odosobnione pomiędzy duchowieństwem polskiem to *niepopularne* pomiędzy większością konfratrów oraz w szerokich kołach. Otóż co pisze pewien duchowny (X. I. D.) do *„Orędownika:“*

„O ile mi wiadomo, zapatrywania ks. prałata Stychla i Mayera są tylko zdaniem pewnej części duchowieństwa w sprawie związków zawodowych. Wiem dobrze, że bardzo wielu młodych konfratrów z powyższem zdaniem bynajmniej się nie solidaryzują, ale gorąco pragną usamodzielnienia i zcentralizowania robotniczego ruchu polskiego na podstawach nowo powstałego Związku zawodowego polskiego. Szanowni konfratrzy poznańscy wybaczą nam, że w tym względzie staniemy do nich w najskrajniejszej opozycyi, gdyż urzeczywistnienie ich myśli stanęłoby na przeszkodzie wszelkiemu samodzielnemu rozwojowi ruchu robotniczego polskiego, do którego winniśmy wszyscy gorąco ręce przyłożyć.

„Jak na polu politycznem, tak i na polu socyalnem panuje powszechnie dążność do emancypacyi z pod obcych wpływów, która ma swoje rzeczowe uzasadnienie w odrębności interesów robotników naszych od robotników obcych tak samo, jak w psychologii dzisiejszego życia społeczno narodowego.“

„Goniec“ i *„Orędownik“* zamieściły artykuły w obronie *Polskiego związku zawodowego*, w których czytamy miedzy innemi

„Zarzucają związkom centralnym (tak też jest w istocie), że związki te pracują na korzyść polityki socyalistycznej, ale czy i związki chrześcijańskie nie pracują na korzyść polityki centrowej? A że centrum stało się partyą rządową, dla tego jest słuszna i uzasadniona obawa, bo poparta tysiącznemi dowodami, że pracują dla polityki centrowej, pracować one będą powolnie (tem gorzej dla nas) nad germanizacyą naszego robotnika. Wydawanie pism i broszur w języku polskim niczego nie zabezpiecza, bo taktyka w tych pismach nie będzie zmieniona i powoli usypiać będzie czujność robotnika. Toć socyaliści dawno wydają polskie pisma i to dość mnogo, lecz czy temi pismami dają gwarancyę robotnikowi polskiemu, owszem temi pismami tem więcej zyskują zwolenników dla swej partyi politycznej. Kto zaś i komu dał związek chrześcijański gwarancyę równouprawnienia językowego? i w jakiej myśli to równouprawnienie będzie się przedstawiało?"

Co się tyczy chwilowego uwzględnienia Polaków ze strony związku chrześcijańskiego czytamy:

„Dla czego związek chrześcijański chce tutaj u nas w Wielkopolsce (bo o innych dzielnicach ani mowy nie ma) zagwarantować najzupełniejszą odrębność narodową dla członków polskich? Bo wie, że inaczej nie zrobiłby tu żadnego *interesu*. A że *ustępstwa* takie chce zrobić, *to zasługa jedynie związku polskiego*, bo gdyby go nie było, aniby się związkowi chrześcijańskiemu śniło tak daleko idących ustępstw robić (jeżeli je jeszcze w zupełności wypełni), a jeżeli zrobi, to tylko dla tego, by związek polski *ubić*."

Zresztą sądzimy, że wszystkie te ustępstwa istnieją tylko — *na papierze*. Jakoż prócz „Kur. Pozn.", który zajął niewyraźne stanowisko, nie ma polskiego organu, który byłby oświadczył się za związkami chrześcijańskiemi. „*Wielkopolanin*" wyraża też przekonanie, że

„*związki zawodowe polskie sprostają zadaniu*, jeżeli znajdą *ogólne poparcie*.

„Jedno tylko ostrzeżenie uważamy za obowiązek wystosować pod adresem polskich związków. Związki powinny się wystrzegać polityki w ogóle, a w szczególe powinni się przywódzcy wystrzegać wszelkiej partyjnej polityki."

A w „*Orędowniku*" pewien korespondent tak pisze:

„Jestem mocno przekonany, że gdyby nasi Wielebni księża swoje wpływy, jakie tutaj jeszcze mają, skierowali ku związkom polskim, toby doczekali się rzeczywistej pociechy. Ale gdy księża nasi będą chcieli tutaj na polu socyalno-ekonomicznem operować żołądki polskie, jak operują języki na polu politycznem niektórzy księża na obczyźnie, to mogą łatwo wywołać ferment bardzo niekorzystny dla siebie w ludzie polskim i doprowadzić do niejednego rozdwojenia między duszpasterzem a parafianami, czego związek polski nie chciałby być wcale przyczyną. a gdyby rzeczywiście do tego miało przyjść, to odpowiedzialność za to spadnie na tych księży, którzy za gorliwie popierają niemieckie związki."

Związki chrześcijańskie, jak wiadomo, godzą się na uwzględnienie języka polskiego w Poznańskiem.

„Tu w Księztwie — pisze „*Dziennik Berl.*" — zapewniają one swobodę językową, bo wiedzą, że tu robotnik tak czy tak się nie zniemczy, ale na obczyźnie dla kilkunastu Polaków nie będzie się Niemcom śniło obradować po polsku, a jeżeli się Polacy do ich żądań nie zastosują, wtenczas choć po kilku latach przynależności do związku, wyrzucą ich, a pieniądze polskie krwawo zapracowane przepadną."

W sprawie związków wywiązała się żywa polemika, która przyczyni się niemało na zainteresowanie ogółu i rozjaśnienie pojęć.

Tymczasem *na Slązku* lud polski stacza walkę z germanizatorskiem duchowieństwem. I tak, jak podnosi „*Dzien. Berl.*":

„Co chwilę donoszą „Górnoślązakowi" rodacy, że księża nie chcą im dać rozgrzeszenia dla tego, że czytają gazety narodowe lub że głosowali na polskich kandydatów. Gdzieindziej znowu księża głoszą, że w tej a tej wiosce nie odbędzie się odpust, ponieważ parafianie głosowali w wyborach na kandydata polskiego. To jątrzy lud tak dalece, że odzywają się wśród niego już takie głosy: Jeżeli księża nie chcą urządzić odpustu, będzie trzeba sobie sprowadzić protestanckich pastorów; oni będą sprawiedliwszymi od naszych księży.

„Księża germanizatorzy prowadzą grę bardzo niebezpieczną."

Z powodu rozruchów w *Laurahucie* jak donosi „*Beuthener Ztg.*"

„zostanie aresztowanych 115 osób, a 48 już aresztowano; wielu jest rannych, jeden zastrzelony. Rozprawy sądu w Bytomiu odbywać się będą co najmniej przez tydzień, prawdopodobnie w jakiej wielkiej sali, n. p. w gimnazyum. Zostanie wyznaczona osobna sesya sądu przysięgłych. Pracodawcy bezwzględnie wypowiadają pracę tym, którzy odznaczali się w agitacyi wyborczej. Z kopalni Heinic np. wydalono w środę zeszłego tygodnia 35 robotników. Po innych kopalniach i fabrykach dzieje się podobnie. Biednych ludzi czeka tułaczka, nędza, ich rodziny głód. W Gliwicach również odbędą się rozprawy sądu przysięgłych z powodu rozruchów wyborczych w Zabrzu."

Dola nieszczęsnych ludzi dotkniętych tą sprawą leży na sercu Górnego Slązka. Utworzył się przeto komitet, który niesie im pomoc. Odezwę komitetu publikujemy poniżej.

Jak na Górnym Slązku wychodźcy nasi w *Westfalii* i *Nadrenii* toczą bój z centrowcami w obronie swej narodowości. Celem przeciwdziałania ruchowi narodowemu i zdobycia Polaków dla celów centrum poczęli dajczkatolicy wydawać w Dortmundzie polski organ centrowy: „Przewodnik na obczyźnie." Przeciwko temu pismu zaprotestowali *Polacy w Dortmundzie* na wiecu i wyrazili przekonanie,

„1) że żaden prawy Polak nie będzie go abonował, lecz starał się, ażeby nikt z rodaków go nie utrzymywał

Dalej Polacy

2) protestują przeciwko polecaniu tego pisma z ambon, również życzą sobie, aby pp. kupcy nie umieszczali reklam i ogłoszeń w tymże, bo nie mogliby ich w tym razie pod żadnym względem popierać.

3) ubolewają bardzo, iż znaleźli się rodacy, którzy dali się użyć za narzędzie do zwalczania świadomości narodowej wśród braci naszych i wstąpili jako redaktorzy tego germanizatorskiego pisma — jesteśmy zniewoleni nie uznawać ich nadal za Polaków, lecz za zdrajców sprawy narodowej.

4) zgromadzeni dziś wyrażają zaufanie swym przedstawicielom i kierownikom, których „Przewodnik na obczyźnie" wraz z sławetną „Tremonią" śmie nazywać krzykaczami, wichrzycielami i burzycielami spokojnego ludu."

O walce Polaków z centrowcami pisze bochumski „*Wiarus*:"

„Na całej linii wre walka centrowców i ich pomocników przeciw ludowi polskiemu na obczyźnie. Ci sami ludzie, którzy z dumą wskazują na hasła swej partyi: „Za prawdę, wolność i prawo", najhaniebniejszych chwytają się środków, by mścić się na ludzie polskim. Sposób walki jest zaś nieraz wprost wstrętny i ohydny. „Wiarus Polski" chwilowo spokojnie patrzeć będzie na takie „działanie" — lecz w stosownej chwili pokaże światu prawdziwe twarze różnych centrowych filarów. Walka wre! Z jednej strony tysiące ludu polskiego, oburącz broniące swych skarbów narodowych, z drugiej całe zastępy niemiecko-katolickich germanizatorów, wysilających się w celu obmyślenia sposobów wydarcia z dusz polskich poczucia odrębności narodowej, wyziębienia przywiązania do spraw narodowych."

Pan Kulerski jeszcze ciągle zaprząta umysły w Prusach Zachodnich i nieprzyjaciele jego nie przestają go zwalczać. Zdaje się, że tylko w celu zaszkodzenia „Gazecie Grudziądzkiej" ma w Grudziądzu powstać „Dziennik Grudziądzki, a między inseratami „Pielgrzyma" teraz jeszcze poleca pewna księgarnia głośną broszurę X. Kujota: „Pan Wiktor Kulerski." Zdawałoby się, że autor wycofa z obiegu ten pamflet, który tak przykre zrobił wrażenie nawet pomiędzy antagonistami pana Kulerskiego, tymczasem — nie. Czyliż godzi się rozniecać w sercach płomień nienawiści osobistej? Czy nie można by nareszcie wprowadzić przyzwoity ton w spory polityczne? Broszura ta pozostanie smutnym dowodem bezwzględności i zacietrzewienia w zwalczaniu przeciwnika.

Wobec tego z wynikiem *wyborów w okręgu tucholsko-chojnickim* wielu nie może się jeszcze pogodzić. Ztąd odzywają się przypuszczenia, że Koło polskie *nie* przyjmie *pana Kulerskiego* w swój poczet i przez to wymierzy ma

karę za secesyą. Oczywiście nie można ani chwili przypuszczać, aby tak się stać miało. Wszelkie obawy pod tym względem uspokaja głos sędziwego członka Koła sejmowego, który w *„Dzien. Pozn.“* tak przemawia:

„Wstęp do Koła otwartym jest dla każdego prawowicie wybranego posła, oddającego się myśli przewodniej Koła i jego statutowi, opierającemu się na zasadzie solidarności. Wyznanie polityczne, tak samo jak religijne, żadnej tu nie stanowi różnicy i dzieje Kół naszych pouczają nas, że w niem od początku zasiadali posłowie bardzo różnych zapatrywań politycznych i o różnem wyznaniu religijnem.

„O prawowitości wyboru poselskiego stanowi zaś izba poselska sama i wyznacza ku temu poszczególną komisyą rugów wyborczych, a wybór posła, nawet takiego, przeciwko któremu zaniesiono uzasadniony protest, dopóty uchodzi za ważny, i poseł w całej pełni zażywa praw swoich poselskich, dopóki uchwała izby samej nie unieważni wyboru.“

Smutną przygnębiającą wiadomość przyniósł *„Lech:“*

„Wczoraj odbyła się w naszej katedrze doroczna uroczystość rozesłania św. Apostołów. W tym samym dniu przypada także pamiątka owego wielkiego zwycięztwa oręża polskiego nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Od roku 1410 do 1902 śpiewano w tym dniu w naszej archikatedrze po skończonem nabożeństwie na podziękowanie Panu Bogu za to wielkie zwycięztwo uroczyste „Te Deum laudamus“; w tym jednak roku odśpiewanie tego hymnu, z powodu nacisku z Berlina, zniesiono.“

Wobec tego zauważa *„Dzien. Berl.“*

„Daleko już rzeczy zaszły, skoro system pruski zaczyna rządzić się w naszych kościołach jak szara gęś i usuwać w nich od wieków istniejące a przez Stolicę Apostolską ustanowione nabożeństwa!“

W ostatnich czasach objawia się między obywatelstwem wiejskiem jakiś obłęd pędzący do wyzbywania się ziemi polskiej na rzecz *komisyi kolonizacyjnej*. A obłęd ten jest tem większym, że komisya nie jest nawet wcale skłonną do płacenia wysokich cen — Polakom. Znamy wypadki, w których Polacy byliby chętnie ofiarowali wyższą cenę od komisyi oraz wypadki, w których aktualnie *polski kupiec płacił więcej od komisyi*. A więc nawet z punktu czysto finansowego jest to — zupełny obłęd. Takim obłędem jest znowu sprzedaż *Turostowa* pod Kiszkowem. Idąc za smutnym przykładem hr. Leona Czarneckiego p. *Zygmunt Urbanowski* powiększył listę sprzedawczyków, oddając swój majątek — który przez 300 lat był w rękach rodziny — komisyi.

„Co go skłoniło — pisze *„Dzien. Pozn.“* — do przeprowadzenia w ukryciu przed sąsiadami pertraktacyi o sprzedaż 2500 morgów pięknej, urodzajnej ziemi, obciążonej tylko w połowie wartości landszaftą, jest niezrozumiałem. Z pewnością zaważyły tutaj na szali namowy najbliższej rodziny, które tak fatalnie wpłynęły na schorzałego właściciela! A trzeba dodać, że do Turostowa przywiązany był jedyny w powiecie głos polski, uprawniający do wotowania na członka do izby panów. Plan ułożony był dość dawno, bo gdy przed dwoma tygodniami pierwsze gruchły pogłoski, pobliski proboszcz na list swój, zaklinający p. Urbanowskiego o wyjaśnienie sprawy, nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

„Nie ma dość słów potępienia na takie haniebne frymarczenie ziemią polską. I na głowę winnej rodziny słusznie spadną łzy i rozpacz wypędzonych, posiwiałych w służbie Urbanowskich, oficyalistów i ludu, słusznie obiją się o ich uszy złorzeczenia i przekleństwa całego społeczeństwa. I spoczywające w grobach prochy Urbanowskich i Chosłowskich wstrząsną się, gdy stąpać po ich dziedzictwie będzie obca noga, a widma ich zakłócą spokój snu niegodnych potomków i wstrętnem uczynią im używanie za judaszowe pieniądze.

„Pogarda zaś współczesnych jedyną jest karą za takie postępowanie.“

Red.

Pomoc dla ofiar w Laurahucie.

Odbieramy następującą odezwę:

Rodacy!

Dzień 21 czerwca na wieki pozostanie pamiętnym w dziejach ludu polskiego na Śląsku.

W dzień ten popłynęła droga krew braci na ulicach Huty Laury, osady zamieszkanej przez dziesiątki tysięcy ludu polskiego, wiernego przodków wierze, mowie i obyczajom. W dzień ten dziesiątki rodzin utraciły ojców i żywicieli, matki synów ukochanych, siostry braci, rodzice biedni jedyne podpory starości.

Kto jest sprawcą tego nieszczęścia? Kto wycisnął łez strumienie, które leją się po chatach biednego ludu polskiego? Wiedzą wszyscy wiarusi, wiedzą wszyscy rodacy, że tę niezmierną krzywdę wyrządzili nam ci, co mienią się być opiekunami naszymi — centrowcy.

Widząc swe panowanie zachwiane, nie przebierali w środkach, kroczyli naprzód bezwzględnie, aby osiągnąć zwycięztwo, choćby z największą szkodą dla ludu naszego.

Ośmieleni wskazówkami ks. kardynała, w sposób niebywały zwalczali ruch polski na Śląsku i przewodników jego. Z ambon sypały się gromy i padał grad na nas i kandydatów polskich na posłów do parlamentu, w konfesyonałach gdzie biedny i udręczony lud szuka pociechy w swojej niedoli, gwałcono sumienia nasze i odmawiano nam pociech religijnych, na zebraniach publicznych szydzono z naszych uczuć narodowych i obrzucano błotem wyzwisk i jadem nienawiści najwybitniejszych obywateli naszych.

Wobec tego wszystkiego mieliśmy skrępowane usta i bronić żeśmy się nie mogli. My Polacy jesteśmy zanadto dobrymi katolikami, aby za przykładem centrowców znieważać świątynie pańskie, a na zebraniach, zwoływanych licznie przez centrowców nie mieliśmy prawa bronić się i wypowiadać żale i krzywdy swoje, bo tam usłużna i licznie zastąpiona policya na rozkaz rzekomych przyjaciół naszych zamykała nam usta. Sami zaś zebrań urządzić nie mogliśmy, bo pod wpływem centrowców odmawiano nam miejsca na nie.

Cóż więc dziwnego, że zapanowało rozgoryczenie straszne między ludem naszym na tych, co poniewierali nim i przewodnikami jego wszędzie, gdzie tylko nadarzyła im się sposobność. Lud doprowadzony do rozpaczy, mając w sercu gorycz niesłychaną, dnia 21 czerwca uniósł się niestety, a zbyt gorliwe zachowanie się policyi dodało oleju do ognia. Tak powstało nieszczęsne zajście w Hucie Laury. Ofiary i łzy z tego powodu płynące, spadają na centrowców, którzy bezwzględną agitacyą swoją sprowadzili to straszne nieszczęście na lud polski. Sprawców moralnych nie dosięgnie ręka sprawiedliwości, lecz na lud spadną kary srogie, bieda wielka i nędza straszna.

Aby tym biednym i nieszczęśliwym ofiarom niesłychanej agitacyi centrowej nieść pomoc i obronę, zawiązaliśmy się w komitet, który zajmie się obroną obwinionych i dolą biednych rodziców, żon i dziatek niewinnych.

Donosimy zatem wszystkim rodakom dotkniętym nieszczęściem w Hucie Laury, których mężów, ojców lub synów uwięziono, aby w sprawach obrony zwracali się do obrońców przez nas obranych i to do pp. adwokatów drdr. Adamczewskiego i Seydy w Katowicach, a wszystkich braci rodaków prosimy, aby pospieszyli czemprędzej z pomocą na rzecz rodzin osieroconych.

Łzy, które się leją w Hucie Laury, są łzami naszemi, bieda, która tam zagląda strasznemi oczyma do chat rodzin pozbawionych żywicieli, jest biedą naszą, całego ludu polskiego.

Ludu polsko-katolicki, znany w świecie ze swej ofiarności, nie żałuj grosza i czemprędzej składaj co możesz, aby pospieszyć z pomocą nieszczęsnym naszym rodakom.

Komitet celem niesienia pomocy ofiarom w Hucie Laury.

Dr. Stefan Adamczewski, adwokat w Katowicach; dr. Maksymilian Hager, lekarz w Zaborzu; dr. Maksymilian Hanke, le-

karz w Bytomiu; dr. Piotr Hylla, kasyer Banku Ludowego w Katowicach; Jakób Jasiczek, księgarz w Gliwicach, dr. Franciszek Karas, redaktor w Katowicach; Jan Kowalczyk, redaktor w Katowicach; Wojciech Korfanty, poseł do parlamentu i redaktor w Katowicach; Józef Kopczyński, generalny sekretarz związku wzajemnej pomocy w Niemieckich Piekarach; Adolf Ligoń, sekretarz związku wzajemnej pomocy w Katowicach; dr. Ildefons Miecznikiewicz, lekarz w Katowicach; dr. Andrzej Mielęcki, lekarz w Katowicach; Jan Pieluch, redaktor w Gliwicach; dr. Józef Rostek, lekarz w Raciborzu; Antoni Wolski, redaktor w Raciborzu: Michał Rzepka, kupiec w Katowicach; dr. Zygmunt Seyda, adwokat w Katowicach; Józef Siemianowski, redaktor w Gliwicach; dr. Antoni Śmierzchalski, lekarz w Katowicach; dr. Jan Nep. Stęślicki, lekarz w Siemianowicach; Antoni Szymkowiak, krawiec w Katowicach; Wacław Szyperski, dyrektor Banku Ludowego w Katowicach; Wojciech Zając obywatel w Katowicach; Józef Pietzka, budowniczy w Zawodziu; Masalski, mistrz szewski w Lipinach.

Dotychczas zebrano razem 692.36 mk. Bardzo prosimy o dalsze składki które przesełać wprost należy na ręce Komitetu.

Głosy od Przyjaciół.

Bitterfeld, (Saksonia) 10. 7. 03.

W nr. 27 „Pracy“ czytam interesujący list z mej parafii, który mogę we wszystkiem potwierdzić. XX. tutejsi tak daleko zaszli, że zakazują należeć do towarzystw polskich. Obrzucają błotem i wyzwiskami naszych najlepszych wiarusów i tak żądali, abyśmy z tow. wykluczyli pp. Szyszkowiaka, Mrozka, Wolińskiego, a panu Stan. Kunzowi uniemożliwili pobyt w Bitterfeldzie. Jeżeli to zrobimy, to chorągwie mogą być nadal w kościele. Lecz to nad nasze siły. Zkąd my możemy wykluczać ludzi którzy są naszymi przewodnikami, ludzi, którzy są wzorowymi i dobrymi katolikami, nie pijakami lub marnotrawcami, Błąd ich polega na tem, że mają gorące serce polskie, które zawsze i wszędzie głośno bije dla Ojczyzny — Polski.

A czy możemy uniemozliwić pobyt p. Kunzowi? W państwie pruskiem wolno się każdemu osiedlać, gdzie chce prowadzić handel. My się cieszymy, że właśnie tutaj p. K. się osiadł i że nas będzie bronił od germanizacyi. Szczególnie przyrzekł nam robotnikom obronę, której nam potrzeba, bo się starają ludzie wpływowi usunąć robotników polskich z fabryk, mianowicie tych, których powyżej wspomniałem. To się dzieje za przyczyną ks. Gerwina.

Dalej wyszedł zakaz, aby do fabryk nie przyjmowano robotników polskich. Protestanci się śmieją i radzą nam postąpić sobie tak jak katolik robotnik nie powinien. A ksiądz, który w miłości ludzi łączyć powinien, odstrasza ich i oddaje w ręce socyalistów, wprost w otchłań piekielną ich wpycha.

Choćby robotnik był najgorszy, nie godzi się pozbawiać go chleba, bo nietylko on cierpiałby, ale i jego rodzina, która może być najlepszą w świecie.

Zasyłamy zatem do ks. Biskupa zażalenie, bo musi być inaczej. Niepodobno, aby nas nie wysłuchał. Ks. Gerwin jako i ks. Schafer wyzywali nas od socyalistów. Tymczasem 16 czerwca pokazało się, że my choć bez agitacyi dostaliśmy *80 głosów*, a Centrowcy, którzy założyli na cel ten 2 „Polnische Männer-Vereiny“ i na ambonie agitowali za Centrum i nauczycieli a nawet dzieci posełali od domu do domu i rozdawali kartki centrowe i dostali wszystkiego aż *30 głosów* na Dajczkatolika. Reszta głosowała na socyalistę.

I któż to na rzecz tych czerwonych agitował? Nikt inny, jak ks. Gerwin, przez to, że ów list pasterski rozbierał. Postępujcie tylko tak dalej a sami wzmocnicie socyalizm!

„Praca“ jest tu wyklęta w kościele już od dawna, bo broniła naszych praw i drukowała listy nasze, w których żale i skargi zanosiliśmy. Niemniej występują tu bardzo ostro przeciw „Robotnikowi Polskiemu“. Nowe to pisemko broni nas tu jak może. Oby więc rodacy zapisali je sobie i do tego „Pracę. To nie będzie za wiele.

Właśnie dlatego, że germanizatorzy pragną pisma te ubić, powinniśmy je abonować, rozszerzać i pracować, ile sił nam stanie, aby oświata, trzeźwość i oszczędność się rozpowszechniły.

Dobrze, że pana Kunza nie było tu przez pewien czas, bo wszystko by mu na karb włożono.

On byłby winien, że chorągwie polskie nie wzięły udziału w przyjęciu biskupa, że Polacy głosowali częściowo na p. Chociszewskiego. Co bowiem stanie się tu, czy dobre lub złe, zbroił nikt inny jak p. Kunz, którego germanizatorzy jako największego napiętnowali łotra, używając takich słów, jakich tylko ludzie bez czci i wiary używać mogą.

Lecz rzecz ma się inaczej. Że chorągwie nie wzięły udziału, *winni są księża*, bo założyli „Männer Verein“ na zmarnowanie towarzystw polskich. Żądano, aby go rozwiązać a wtedy z chęcią udział weźmiemy.

Mamy tu niemało wypracowanych, dojrzałych wiarusów, którzy by życie dali za swą ukochaną Ojczyznę i jej sprawy. Miejmy nadzieję, że duch nie zamże. A gdy rączo do oświaty się weźmiemy, gdy „Praca“ i „Robotnik Polski“ będzie w każdym domu — to się nie zniemczymy. Zarazem dbać trzeba aby w rodzinach naszych polski panował duch, bo w dzieciach jest nasza przyszłość, fundament i podwaliny naszej sprawy.

Kto nie chce, aby go nazywano zdrajcą, ten niechaj przystępuje tylko do polskich tow:, bo tam jest dla nas miejsce.

Dnia 19 lipca urządzamy *wiec* w sprawie opieki duchownej w Bitterfeldzie i listu pasterskiego X. kard. Koppa i wreszcie organizacyi zawodowej.

Swój.



— ***Spisy wyborcze*** obywateli uprawnionych do wyboru radnych miejskich wyłożone są w Poznaniu od ***15—30 lipca*** w sali posiedzeń B. w starym ratuszu od 8—9 i od 3—6 popołudniu. Zwracamy obywatelom uwagę na owe spisy, zachęcając ich, aby przekonali się, czy są w nich pomieszczeni.

Węgle górnośląskie z pierwszorzędnych kopalni dostarcza do każdej stacyi kolejowej po cenach najniższych 549 **W. Brzeski,** Dom agencyjno-komisowy Poznań 5.

Przy zakupach większych proszę żądać oferty specyalnej. —

J. BIAŁAS.

Fabryka odznak, medali i bizuteryi.
Skład zegarków, okularów i wyrobów złotniczych.

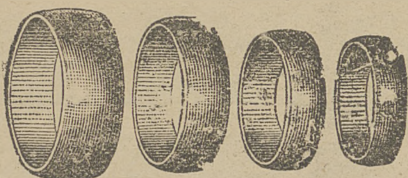
= Obrączki ślubne. =

Warsztat reparacyjny.

Polecam we wielkim wyborze: zegarki kieszonkowe, regulatory, budziki, kukawki, ścienne Zegary, stołowe i konsolowe. Broszki, kolczyki, bransoletki, pierścionki, szpilki do krawatek, krzyżyki, breloki, łańcuszki, obrączki ślubne, medaliony do fotografii, guziki do mankiet medale, monety, srebrne tabakierki itd. Okulary binokle, termometry, barometry, lornetki, łańcuszki i sznurki do binokli itp.

Nowość:

Złote obrączki ślubne z jednej sztuki robione,



782

Wszelkie reparacye wykonuję po najniższych cenach.
Cenniki na życzenie wysyłam bezpłatnie.

W mieście **OSTROWIE** jest 563

korzystne miejsce

celem osiedlenia się katol. rzemieślnika mianowicie dla rzeźbiarza, piekarza oraz dla każdego innego przemysłowca.

Bliższe szczegóły poda

A. Henschke, Ostrowo i|P.

GOSCINIEC.

Przy bardzo ożywionym trakcie i szosie **w większej** wsi jest do sprzedania gościniec **z ca. 5** morgami roli przy zaliczce *6000 mk.* **Oferty** uprasza się pod adr. **A. W. Posen I. Schliessfach 33.**

Piekarnia

w większem mieście pow. gdzie gimnazyum i wojsko w ożywionej ulicy blisko głównego rynku, jest z powodu stosunków famil. zaraz pod korzystnemi warunkami do zadzierżawienia. Bliższych wiadomości udzieli

W. Krause Gniezno.

ul. Warszawska No. 3. 556

Poszukuje się

50000 mk.

na hipotekę absolut pewną, po za którą dopiero bank przychodzi i to na majątek ziemski pod Poznaniem.

Oferty uprasza się pod lit. P. S. I. do eksp. „Pracy".

Nowe szkockie

śledzie,

matjasy,

margarynę

we wszelkich gatunk., oraz

naftę amerykańską, mięszaną, salonową,

z dostawą na bieżące i późniejsze termina, poleca po cenach hurtownych

Szczeciński hurtowny handel śledzi i nafty

Maciejewski i Spółka

Poznań, W. Garbary 28.

Telefon 872. 91

Adres telegramów:
Herringsgrossist-Posen.
Prosimy adr.: Maciejewski & Co., Poznań-Posen, Gr. Gerberstr.

Ucznia

z odpowiedniem wykształceniem przyjmie

Wł. Lompa,

Śrem. 590

Sklepy,

remizy i stajnia, stósowne na skład piwa, wina lub spirytuosów są przy głównej ulicy Poznania do wydzierżawienia.

Oferty do Ekspedycyi „Pracy" Nr. 580. 580

Biegłego

pomocnika

oraz

ucznia

przyjmie zaraz 584

W. Zwierski, Września.

Skład tow. bławat. i krótkich.

Panna 20 lat, uboga lecz wykształcona, pragnie wyjść 581

za mąż.

Panowie, którzy mają szczere zamiary raczą swoje oferty wraz z fot. nadesłać pod lit. *K. S. 999 Bismarckhütte O/Schl. Postlagernd.*

Karty wizytowe

wykonuje jak najtaniej

Druk. „Pracy".

WDOWA

z uczciwej familii, bezdzietna, lat średnich, przystojna, miłej powierzchowności, posiadająca w gotówce 5,800 talarów życzy sobie 585

wyjść za mąż.

Życzeniem jej jest, aby poślubić przyzwoitego, trzeźwego, pilnego i oszczędnego wdowca w starszym wieku, a przedewszystkiem zaś bogobojnego i uczciwego Polaka. — Właściciele mniejszych posiadłości (mający ciężary na swych mająteczkach) zamieszkali na wsi lub na małem mieście mają pierwszeństwo. Reflektanci winni podać swój dokładny i wyraźny adres, oraz swój wiek i całe swoje stosunki familijne, majątkowe itp. Bliższych szczegółów udzieli brat wdowy, który obecnie zamieszkuje w Saksonii. Adresować proszę pod adresem: *P. M. 731 Postlagernd Leipzig-Kleinzschocher,*

Kawaler 35 lat, posiadający 12,000 mk. pragnie się

OŻENIĆ

z panną lub wdową, któraby również miała odpowiedni kapitał aby ów wspólny majątek wystarczył na zakupno folwarku. Oferty z dołączeniem fotografii lub bez, uprasza się nadesłać Postlagernd: **K. J. Lubasch**

Dyskrecya rzecz honorowa.

Kawaler 37 lat liczący, Polak, przystojny mężczyzna, posiadający cokolwiek majątku, szuka

żony

również z majątkiem. Panienki lub młode wdówki zechcą łaskawie oferty wraz z fotografią przesłać do eksp. „Pracy" pod lit. *N. 591.*

Dyskrecya rzecz honorowa. Anonimów się nie uwzględnia. 591

L. Kaniewski

w Poznaniu, ul. Wodna nr. 2

poleca swą od roku 1846 istniejącą

FABRYKĘ TABAKI.

Zwraca mianowicie uwagę *na tabaki ruskie, holenderkę, prawdziwy Nessing.*

poleca także swój znany

skład cygar

li tylko odleżałych

Papierosów i tytuni

w najrozmaitszych gatunkach. 194

NOWOŚĆ: Tabaka zdrowia przeciw katarowi.

Tabaka zdrowia przeciw katarowi. NOWOŚĆ:

Egzaminowana nauczycielka

do wyższych zakładów żeńskich udziela po przystępnych cenach lekcyi języków: polskiego, niemieckiego, francuzkiego angielskiego, korepetycyi oraz muzyki tak dziewczętom jak też chłopcom w domu i poza domem. Bliższych wiadomości udzieli Redakcya „Pracy".


LEON XIII.
A. FIEDLER POZNAN

Dział illustrowany.

Po zgonie Papieża.

Komu służy prawo wyboru papieża? kto może być obrany papieżem? gdzie i wśród jakich okoliczności dokonywa się ceremonii wyboru papieża?

Prawo wyboru służy wyłącznie kardynałom i pozostaje przy nich nawet wtedy, gdy śmierć papieża przypadła właśnie w czasie zebrania soboru powszechnego. Postanowienia soboru konstancyeńskiego i bazylejskiego, przyznające soborom prawo obierania papieża, zostały uchylone późniejszemi ustawy. Tak rozporządzili Juliusz II ze względu na piąty sobór lateraneński (1513), a Paweł III (1544) i Pius IV (1561) ze względu na sobór trydencki, że gdyby zmarli w czasie odbywającego się właśnie soboru, ma nie sobór, lecz kolegium kardynałów obrać następcę. Wreszcie wydał Pius IX ogólny w tej



† Kard. Józef Pecci, brat Leona XIII.

mierze przepis, postanawiając, że sobór zgromadzony w chwili śmierci papieża zawiesić ma swoje obrady, pokąd kardynałowie zwykłym trybem nie obiorą następcy.

Z pomiędzy kardynałów wyłączni są od prawa wyboru jedynie ci, co jeszcze nie otrzymali święcenia dyakona, chyba że im zmarły papież osobnym przywilejem nadał prawo wyboru. Zresztą służy to prawo każdemu bez wyjątku kardynałowi, choćby jeszcze nie otrzymał insygniów swej godności i choćby go spotkały kary kościelne, a nawet klątwa.

Co do obieralności zauważyć należy najpierw, że mylne jest zdanie, jakoby tylko kardynał mógł być obrany. Postanowił to wprawdzie synod rzymski w r. 769, ale w praktyce przepis ten nie utrzymał się, a Mikołaj II w swoim dekrecie elekcyjnym wyraźnie go uchylił. Już po konstytucyi Aleksandra III powołano z po za grona kardynałów Urbana III (1185). Urbana IV (1260), Grzegorza X (1271), Celestyna V. (1294), Klemensa V (1305), Urbana V (1362)

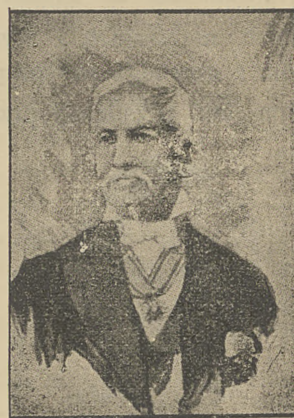


† Leon XIII jako nuncyusz w Brukseli.

i Urbana VI (1378). Począwszy od jego następcy Bonifacego IX (1389) wybierano już samych kardynałów; że to jednak nie jest konieczne, świadczy najlepiej ceremoniał Grzegorza XV, który mówiąc o formie wyboru per compromissum wyraźnie nadmienia że wybór paść może także na kogoś z po za grona kardynałów. Także pod względem kwalifikacyi kandydata nie zawierają ustawy żadnego ograniczenia. Obieralni są przeto nie tylko duchowni wszelkiego stopnia, ale także osoby świeckie, nawet wtedy, gdy im nie dostaje przymiotów przepisanych do uzyskania święceń, (Hadryan V nie był nawet księdzem), wybór bowiem na papieża usuwa wszelkie wadliwości święcenia. Dlatego też chociaż obrany papieżem przyjmuje święcenie biskupie, nie jest koniecznym warunkiem 30 rok życia. Jan XII (955) miał w chwili wyboru lat 20, Banedykt XI lat 14. Nieważnym byłby jedynie wybór osób, nie zdolnych do przyjęcia święceń, a więc nieochrzczonych, dalej według zgodnej opinii kanonistów dzieci lub osób chorych na umyśle i heretyków. Pozytywny przepis, a zwłaszcza Juliusza II z (1506) uznaje także za nieważny wybór, przy którym obrany dopuścił się symonii.*)

Dotychczas odbywało się konklawe bądź w Kwirynale, bądź w Watykanie. W bieżącem stuleciu wszystkie konklawe odbywały się w pałacu kwirynalskim, w którym umarł Pius VII.

Dziś w Kwirynale mieszka król włoski, konklawe zatem odbędzie się w Watykanie. Przejrzyjmy jak ten gmach był kiedyś urządzony do konklawe i jak zapewne urządzony będzie dziś. Część gmachu na ten cel przeznaczona zajmuje całe pierwsze piętro, od tak zwanego „ganku błogosławieństwa“ (z którego papież w drugie święto Wielkiejnocy błogosławi urbi et orbi), albo od kolumny nad wejściem do bazyliki i nad wschodami królewskiemi aż do komnaty „sprzętów kościelnych“ i komnat



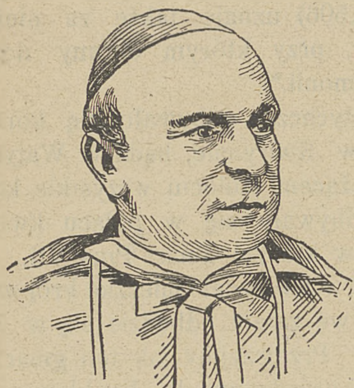
† Jan Pecci, brat Leona XIII.

„kongregacyi“. Za pomocą desek urządzają w krużganku i innych komnatach tyle cel, ilu jest kardynałów. Cele te są numerowane i jedna od drugiej winna być o stopę odległa. W samej kolumnadzie można ich urządzić siedmdziesiąt. Każda cela składa się z pokoiku dlugiego 18 stóp a szerokiego 15, w którym stoi łóżko kardynała, za tym jest drugi pokoik z małemi wschodami, po których wchodzi się do dwóch pokoików tylnych, przeznaczonych dla konklawistów. Cela nie ma drzwi i musi stać otwarta; jeżeli jednak jej

*) Symonia czyli świętokupstwo jest przestępstwo i przedajność w rzeczach duchownych. — Przyp. Red.

mieszkaniec nie chce, by do niego wchodzono, kładzie u wstępu dwa kijki na krzyż. Cele dla kardynałów mianowanych przez zmarłego papieża obite są fioletową materyą wełnianą, dla innych zieloną. Oto cała różnica pomiędzy kardynałami. Cele są tedy jednakowe a żadna nie przedstawia więcej wygód niż inne.

Jak tylko konklawe zostanie rozpoczęte, koszt jego utrzymania spada na Stolicę św.; kardynałom, którzy wolą żywność sprowadzać, zwracają się koszta. W dawniejszych przynajmniej czasach urządzano kuchnie i mieszkania dla kucharzy. Intendent, wezwany przez służbę konklawe, opatruje każdą celę w węgle, drzewo i potrzeby zwyczajne. Kamera apostolska dostawia nawet suknie dla niższej służby; liberya ta składa się ze śpiczastego kapelusza obszytego aksamitem, ze spodni i kurty sukiennych niebieskich z wyłogami i kołnierzem z czarnego aksamitu.



Kard. Ferrata.

Cały ten tak urządzony przestwór jest jak najściślej zamknięty. Wszystkie arkady, kolumnady i wszystkie okna są zamurowane cegłami i wapnem, nawet wielkie okno balkonu błogosławieństw jest zamurowane. W przestworach tych zostawiają tylko malutkie okieneczko, by nie było zupełnie ciemno. Tylko sala prowadząca od wschodów królewskich do królewskiej sali nie jest zamurowana, by kardynałowie, jeżeli tego potrzeba, mogli wejść na konklawe i wyjść z niego. Drzwi jednak są zamknięte na cztery klucze i pilnie strzeżone, albowiem dwa klucze zewnętrzne ma marszałek konklawe, jeden z dwóch wewnętrznych ma mistrz ceremonii, drugi zostaje w rękach kardynała podkomorzego. W kilku miejscach w tych tymczasowych murach urządzone są kołowroty, tamtędy podają kardynałom i konklawistom żywność i inne żądane przez nich przedmioty. Dwa takie kołowroty znajdują się na początku wschodów królewskich, strzegą ich konserwatorowie Rzymu, naczelnicy rontów i prałaci; dwa inne pod zegarem strzeżone są przez asesorów sądu kameralnego papiezkiego, dwa od strony sekretaryatu strzeżone są przez prałatów przybocznych, nakoniec dwa przy wyjściu ku Belwederowi zostają pod opieką patryarchy, arcybiskupa, pomocnika i promotorów apostolskich.



Kard. Capecelatro, arcybiskup Caserty.

Wspomnieć jeszcze należy o okienku przy bramie wschodów królewskich. Tutaj święte kolegium daje posłuchanie posłom i ministrom. Okienko to zostaje otwarte tylko podczas audyencyi, po audyencyi zaraz się zamyka, a firanka chroni od oczu ciekawych.



Kardynał Agliardi, biskup z Albano.

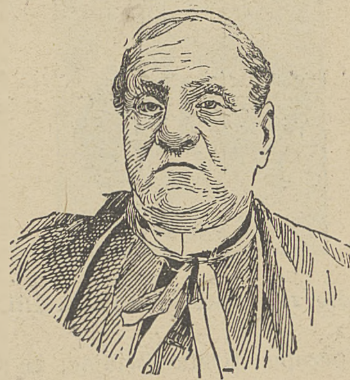
W tymże pałacu mieścili się dwaj urzędnicy, jeden duchowny, major domus kamery jako gubernator tej części miasta i konklawe, oraz marszałek. Pierwszy mieszkał na początku sieni prowadzącej z dziedzińca wielkiej kolumnady na prawo; bramy tej strzegą halabardziści, zostający pod jego rozkazami. Marszałek mieszkał u wstępu do konklawe, do niego bowiem należy zamykanie i otwieranie wyjścia. Jego straż, tak oficerowie jak żołnierze mieściła się w drewnianym baraku wzniesionym przy kolumnie św. Pawła, u stóp wschodów Bazyliki, a nieco dalej znajduje się drugi podobny barak dla halabardników i karabinierów gwardyi szwajcarskiej. Na przeciwnej stronie za pałacem św. officyum mieścili się kawalerzyści papiezcy a na lewo przy tak zwanej wieży „wiatrów“, kirasyerowie papiezcy. W pobliżu stały trzy oddziały piechoty gwardyi, jeden na placu watykańskim, drugi na rogu muru bastyonowego zamku świętego Anioła, trzeci na placu koło mostu. Na tym ostatnim punkcie wznoszono drewniany płot, oddzielający tę część miasta od reszty. U wstępu stał oddział policyantów z policmajstrem Rzymu; dalej milicya miejska zwana Rossi i Corsi. Na około całej owej konklawowej klauzury stały szyldwachy.

Przez czas konklawe nie wolno było zbliżać się do Watykanu ani przez most św. Anioła, ani przez most Transtavero, z wyjątkiem tych, którzy posiadali medale, które bito w takim razie.



Kardynał Pietro.

Prawo bicia tych medali posiadało kilku urzędników jak kardynał podkomorzy, monsignor majordomus, jak gubernator konklawe, monsignor audytor jeneralny kamery apostolskiej, monsignor wielki podskarbi, którzy wszyscy na tych medalach bili swe herby i nazwiska. Rodzina Mattei jako zamieszkująca pierwszy dom na Transtavere miała prawo strzeżenia mostu. Miejsce medalu mogła zastąpić pałeczka, opatrzona herbem, zielona lub fioletowa,



Kardynał Celesia, arcybiskup Palermo.
(najstarszy arcybiskup)

stósownie do tego, czy kardynał był kreowany przez zmarłego papieża, czy przez jego poprzednika.

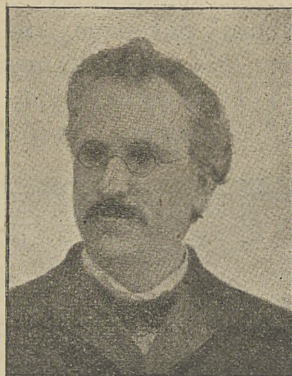
Stósunki wzajemne kardynałów na konklawe, jak wszystko na dworze rzymskim, ulega ściśle i szczegółowo określonemu ceremoniałowi. Każdy kardynał musi drugiemu oddać wizytę, od tego uwolnieni są tylko chorzy, ale i ci winni są posłać swój bilet. Oddający wizytę poprzedzany jest przez jednego lub dwóch konklawistów, mających plan, cel i nazwiska kardynałów.

Wybór papieża.

Dnia jedenastego po śmierci papieża, gdy już przebrzmiały śpiewy żałobne, pogasły pogrzebowe pochodnie, udają się kardynałowie w uroczystym pochodzie do kościoła św. Piotra, gdzie kardynał dziekan czyta mszą św. de spiritu sancto. Następnie ma mowę wyborczą z góry wskazany kardynał, zachęcając do wybrania najgodniejszego Głową kościoła. Ztąd udają się wszyscy kardynałowie na konklawe, a podczas tej procesyi śpiewają kapelani papiezcy Veni creator spiritus. Przybywszy do miejsca, gdzie się ma odbyć konklawe, odmawia kardynał-dziekan modlitwę: Deus qui corda fidelium i raz jeszcze przypomina obowiązek wyborcom, potem ci wstępują do cel dla nich przeznaczonych. Wieczorem tegoż dnia konklawe bywa zewsząd szczelnie zamknięte, co mistrz ceremonii osobnym stwierdza dokumentem. Odtąd przerwanym jest wszelki związek z światem zewnętrznym; z wyjątkiem kardynałów później przybyłych nikt już do konklawe nie ma wstępu, ani też na odwrót nikt go nie może opuścić. Jeśliby zaś nieodzowna okazała się tego potrzeba, zapaść musi uchwała większości. Również nie wolno w żaden inny sposób porozumiewać się z osobami po za konklawe będącemi.

Wybór papieża odbywa się nazajutrz po zebraniu się konklawe, a to po wysłuchaniu mszy św. w kaplicy konklawe.

Sam wybór odbyć się może w trojakiej formie: 1) Wybór (zatrzymujemy tutaj techniczne wyrażenia) quasi per inspirationem, to jest jeżeli na wniosek jednego lub kilku kardynałów, wszyscy inni bez wszelkiej dyskusyi zgodzą się na kandydata i jakby natchnieni obwołają go papieżem. Wybór jest wtedy uskuteczniony bez zachowania szczegółowych formalności. Z nowszych czasów nie ma przykładu takiego wyboru. 2) Wybór per compromissum polega na tem, że kardynałowie postanawiają jednogłośnie zdać wybór na dwóch lub kilku ze swego grona. Wybranym w tym celu kardynałom mogą kardynałowie dać bliższą instrukcyą. W braku takowej rozstrzyga absolutna większość głosów. Compromisarii mogą wybrać jednego z pośród siebie, chyba że ich jest tylko dwóch; gdy bowiem głos dany sobie samemu jest nieważny, nie byłoby w takim razie większości.



Prof. Dr. Rossoni,
III lekarz przyboczny Leona XIII.

3) Prawidłową formą wyboru jest tajne głosowanie, electio per scrutinium.

Akt do głosowania przez scrutinium rozpada się na trzy główne części: a) ante scrutinium czyli przygotowania do głosowania; b) właściwe scrutinium czyli głosowanie i c) post scrutinium to jest stwierdzenie wyniku głosowania.

Przy antescrutinium przygotowuje mistrz ceremonii kartki do zapisywania głosów (schedulae): są one drukowane albo przynajmniej tą samą pisane ręką i na trzy podzielone rubryki. Pierwsza z góry zawiera słowa: Ego... Cardinalis (ja kardynał); środkowa: Eligo in summum pontificem reverendissimum dominum meum Cardinalem (wybieram papieżem najczcigodniejszego pana mojego kardynała...); trzecia jest próżna. Los wyciągnięty przez najmłodszego z kardynałów oznacza trzech skrutatorów do zbierania głosów i trzech delegatów pro votis infirmorum, to jest, aby przyjąć głosy od tych kardynałów, którzy znajdując się w konklawe nie mogą dla choroby lub innej niemocy stawić się w kaplicy. Teraz przystępują wyborcy do wypełnienia kartek, o ile możności zmienionem pismem; w pierwszą rubrykę wpisują swoje imię, w środkową imię kandydata; w trzecią kilka słów z liczbą jako osobne godło. Górną i dolną rubrykę składają i pieczętują potem tak, iż tylko środkowa pozostaje otwarta. Pieczętują zaś nie zwykłą pieczęcią, tylko umyślnie na ten cel przybraną. Na grzbiecie kartek oznaczają słowa nomen i signum górną i dolną rubrykę.

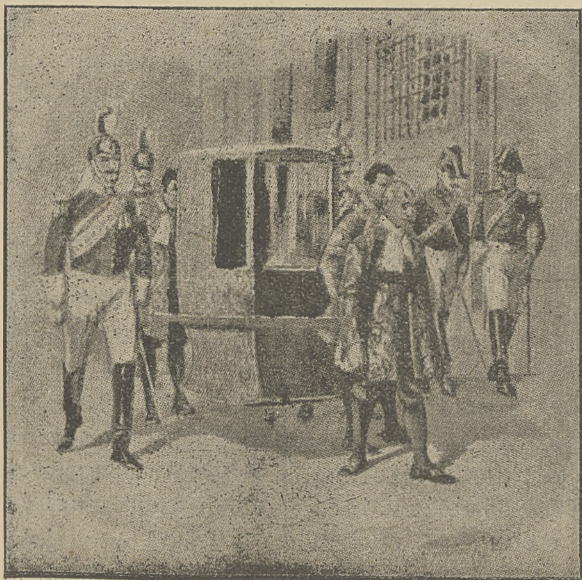
Właściwy wybór (scrutinium) odbywa się codziennie na znak dany członkom św. kolegium przez mistrza ceremonii, który dzwoniąc woła: „Ad capellam domini“ (do kaplicy pańskiej).

Każdy z kardynałów niesie swoją zapieczętowaną kartkę w dwóch palcach, trzymając w górę rękę, do ołtarza kaplicy gdzie uklęknąwszy mówi: „Przysięgam na Chrystusa Pana, który mnie będzie sądził, że tylko tego obrałem, który wydał mi się przed Bogiem najgodniejszym.“ Potem kładzie kartkę na złotym talerzu, z którego rzuca ją do kielicha, służącego za urnę wyborczą. Do kardynałów pozostających w celach idą infirmarii z zamkniętą szkatułką, w którą chory wrzuca kartkę i oddaje ją potem skrutatorom. Kiedy wszystkie kartki oddano, jeden z skrutatorów przelicza je, wrzucając z jednego kielicha do drugiego. Jeżeli liczba kartek nie zgadza się z liczbą głosujących, skrutynium począć musi na nowo. W przeciwnym razie skrutatorowie odczytują nazwiska kandydatów, a każdy z kardynałów zapisuje sobie takowe.

Żadnemu kardynałowi nie wolno wypisywać na kartce własnego nazwiska lub kilka naraz nazwisk, może jednak od wyboru się uchylić pisząc na kartce wyraz „nemini,“ nikomu.

Teraz rozpoczyna się postscrutinium czyli zestawienie rezultatu głosowania. Tu mogą zajść trzy wypadki: Jeden z kandydatów otrzymał więcej jak dwie trzecie głosów albo właśnie tylko dwie trzecie, albo też żaden z nich nie ma tej większości. W pierwszym razie wybór jest doko-







Lektyka Ojca św.

nany, tylko następuje jeszcze recognitio suffragiorum, to jest trzech kardynałów losem oznaczonych sprawdza, czy pierwsi skrutatorowie nie omylili się w podaniu i zliczeniu głosów. W drugim razie należy jeszcze sprawdzić, czy kandydat sam sobie nie dał głosu, ponieważ taki głos uważać należy jako nieważny. W tym celu ma według pieczęci wskazać oddaną przez siebie kartkę, którą skrutatorowie otwierają. W trzecim wypadku skrutinium nie uważa się jako ukończone, lecz ma miejsce dodatkowe głosowanie czyli tak zwany accessus.

Ostatnie postępowanie polega na tem, że głosy przy pierwszem głosowaniu oddane pozostają ważne, że się jednak odbywa powtórne głosowanie, a głosy przy tem drugiem głosowaniu dane doliczają się do pierwszych. Głosować wolno tylko na kandydata, który przy pierwszem głosowaniu otrzymał od kogo innego przynajmniej jeden głos, a nie wolno głosować na kandydata, któremu się oddało głos przy pierwszem głosowaniu. — Jeźli zaś głosujący chce pozostać przy swoim kandydacie, pisze na kartce: Accedo nemini. W ten sposób stać się może, że, jeśli część głosujących przystąpi w akcesie do innego kandydata, ten z doliczeniem głosów pierwszego skrutynium otrzyma dwie trzecie głosów. Zresztą odbywa się głosowanie przy akcesie w ten sam sposób, jak przy pierwszem skrutynium. Po oddaniu kartek sprawdzają skrutatorowie, czy kto nie dał głosu temu samemu kandydatowi, co przy pierwszem głosowaniu, czynią to zaś w ten sposób, iż otwierają dolną rubrykę kartek przy skrutynium i przy akcesie oddanych i porównują znaki czyli godła kardynałów. Gdyby przypadkiem znalazły się dwie kartki z tym samym znakiem, odpieczętować trzeba górną rubrykę, na której wypisane nazwisko głosującego. Jeźli kto z doliczeniem w dodatkowem głosowaniu mu dodanych ma za sobą dwie trzecie głosujących uważa się za wybranego. Zdarzyć się może, że wskutek akcesu dwaj kandydaci mają dwie trzecie lub więcej głosów, natenczas rozstrzyga większa ilość głosów, w razie zaś równości głosów wybór jest nieważny. Gdyby dodatkowe głosowanie do żadnego nie doprowadziło rezultatu, należy, spaliwszy kartki, rozpocząć na nowo cały wybór; ponawiać więc akcesu nie wolno. Kardynałowie pozostać mają w konklawe pokąd wybór w powyższy sposób nie przyjdzie do skutku.

Trwania konklawe oznaczyć nie można. Do wyboru papieża Klemensa X, Inocentego XII i Benedykta XIV potrzebowali kardynałowie czterech, pięciu i sześciu miesięcy. Grzegorz X został papieżem dopiero po walkach wyborczych, które trzy lata trwały. Nie będzie tu może bez interesu zestawienie dat z ostatnich czterech wyborów: Pius VII umarł 20-go sierpnia 1823, wybór (Leona XII) przyszedł do skutku 28-go września t. r.; Leon XII umarł 10-go lutego 1829, konklawe rozpoczęto 24-go lutego, a wybór (Piusa VIII) uskuteczniono 31-go marca t. r.; po śmierci Piusa VIII (30-go listopada 1830) rozpoczęło się konklawe 14-go grudnia 1830, wyboru dokonano zaś dopiero 2-go lutego 1831; wybrany został Grzegorz XVI, który zmarł 1-go czerwca 1846; 13-go czerwca rozpoczęło się



Przyboczna gwardya papiezka.

konklawe, z którego już 16-go tegoż miesiąca wyszedł papież Pius IX.

Dawni cesarze niemieccy, a teraz Austrya, dwór portugalski i francuzki, nabyły zwyczajowego prawa w wiekach średnich, wykluczenia po jednym kardynale, czyli protestowania przeciw jego wyborowi. Dzieje się to w ten sposób: dwór daje pełnomocnictwo jednemu z kardynałów i wymienia mu tych kardynałów, których nie życzy sobie wyboru, co upełnomocniony kardynał w tajemnicy stara się utrzymać. Jeżeli przy scrutinium zachodzi prawdopodobieństwo, że wykluczyć się mający kardynał, wybranym być może tj. jeżeli umocowany kardynał przy obliczeniu głosów spostrzeże, że brakuje do kanonicznej ważności wyboru tylko jednego lub dwu głosów, które jeszcze w puharze znajdować się mogą, wtedy podnosi się i protestuje w imieniu dotyczącego monarchy przeciw wyborowi, poczem już reszta głosów nie zostaje odczytaną. Jeżeli tego zaniecha i nie protestuje póki konieczna liczba głosów nie została osiągnięta, późniejsza protestacya jest już nieważną. Raz tylko, tj. przeciw jednemu kardynałowi może dwór na konklawe protestować, dlatego kardynał mający pełnomocnictwo, musi się mieć na ostrożności, aby protestacyi nie wnieść zawcześnie na wypadek, jeżeli dwór wymienił mu jeszcze innych kardynałów, którzy również są wybieralni, a których wyboru sobie nie życzy.

Skoro obliczenie głosów wykazało pożądany rezultat a protest nie mógł być zastósowanym, tem samem wybór kanoniczny zwierzchnika Kościoła katolickiego stanowczo rozstrzygnięty został.

Nazwisko wybranego większością głosów zostaje trzy razy głośno wywołane, a blizko niego siedzący kardynałowie podnoszą się z miejsc swoich z uszanowania, „bo już im równy nie jest.“ Kardynał dziekan zapytuje wybranego: „Czy przyjmujesz kanonicznie na ciebie przypadły wybór papieża?“ na co po zwykłych w takich razach frazesach „że nie jest godzien“ odpowiada wybrany twierdząco. Przyjmuje jako papież osobne imię, ubierają go w strój papiezki, sadzają w lektykę, wkładają na palec „pierścień rybacki“ i każdy z kardynałów oddaje mu hołd, całując trzykrotnie w rękę i w nogę.

Poczem zaraz jeden z kardynałów spiesznie udaje się na wielki balkon nad bramą Watykanu i donośnym głosem oznajmia: „Habemus papam! Mamy papieża! Najprzewielebniejszego... który przyjął imię...“ I tak więc Rzym i cały świat katolicki mają znowu papieża.

Z celi już teraz otwartego konklawe udaje się nowy papież w orszaku książęcym do kościoła św. Piotra, gdzie publiczny hołd odbiera.

W niedzielę lub też w dzień świąteczny po wyborze odbywa się koronacya papieża. Kardynał dyakon wkłada papieżowi po mszy przez niego odprawionej potrójną koronę z następującemi słowy: „Odbierz tę trzema koronami ozdobioną tyarę i wiedz, że jesteś wszystkich książąt i królów ojcem, ziemi całej władzcą, a Chrystusa Pana naszego zastępcą, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki Amen!“

Ukoronowany papież daje potem po raz pierwszy błogosławieństwo urbi et orbi. Dwóch kardynałów ogłasza zupełny odpust. Poczem papież błogosławi znowu i ceremonia wyboru i koronacya papieża skończona.

Ten, który jako następca Leona XIII zasiędzie na stolicy św. Piotra, będzie dwieście pięćdziesiątym i ósmym z rzędu namiestnikiem Chry-

stusa na ziemi; z tych ośmdziesięciu i jednego Kościół katolicki kanonizował.

* * *

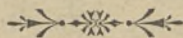
Przepowiednie św. Malachiasza.

Z powodu wyboru nowego Papieża tyle się mówi o słynnem proroctwie św. Malachiasza, że warto poświęcić kilka słów osobie proroka oraz stwierdzeniu, o ile proroctwa jego spełniały się w przeszłości.

Święty Malachiasz był w XII wieku arcybiskupem Armaghu w Irlandyi; był on współczesny Bernardowi de Clairvaux, który też napisał jego życiorys i w nim stwierdził, że św. Malachiasz miał dar proroczy. Jest to prawdopodobnie przyczyna, dla której jemu przypisano proroctwo Benedyktyna Oriona w Wenecyi, który w r. 1595 scharakteryzował krótkiemi dewizami 111-tu Papieży, zaczynając od współczesnego Malachiaszowi Celestyna II-go (1143—1144); po 111-tym ma nastąpić koniec świata. Pierwsze 74 charakterystyki, które kończą się na Urbanie VII (nie panował on nawet dwóch tygodni od 5-go do 17-go września 1590 roku) są bardzo trafne; niema w tem nic dziwnego, ponieważ były to proroctwa *post factum.* Ale zaraz po Urbanie VII zaczyna się rzecz psuć. Już następna dewiza: „De antiquitate urbis“ niema żadnego związku z faktycznym następcą Urbana: Grzegorzem XIV (Mikołaj Sfondrata), który zasiadał na Stolicy Apostolskiej od 5-go grudnia 1590 do 15-go października 1591 roku. Z tego powodu ustaliło się dzisiaj prawie ogólne zdanie, że proroctwo to zostało ułożone w r. 1590, a mianowicie w czasie prawie dwumiesięcznego konklawe po śmierci Urbana VII; zamiarem autora było dowieść, że wybór kardynała Simonielli z Orvieto (urbs vetus) jest wskazany przez samego Boga, co się zresztą nie udało. Jest więc rzeczą jasną, że pierwsze 74 dewizy się stosują są bowiem oparte na herbach, miejscach urodzenia, nazwiskach cywilnych, zakonach, do których należeli — papieże. Z tego względu wykracza się właściwie po za ramy tego proroctwa, o ile się w następnych latach związe dewizy z wypadkami za czasów panowania Papieży np. „Peregrinus apostolicus“ z uwięzieniem Piusa VI-go (zm. w r. 1799 w Walencyi) lub „Crux de cruce“ z więźniem watykańskim, Piusem IX i utratą państwa kościelnego.

Zatem od r. 1590 proroctwa te są dowolne. Jeżeli jednak z pomiędzy następnych 29-ciu, niektóre odpowiadają rzeczywistości, to jest to rzeczą przypadku. I tak np. Aleksander VI (Fabio Chigi 1655 — 1667) posiadał sześć gór w swoim herbie, oznaczony jest, jako „Montium Custos“ (Stróż gór) Grzegorz XVI (Mauro Capelleri 1831 —1846), który był członkiem zakonu toskańskiego, — „de balneis Etruriae“ (z kąpieli etruryjskich-toskańskich) wreszcie Ojciec święty Leon XIII — „lumen in coelo“. Następca Leona XIII będzie 103-cim Papieżem z proroctwa, zatem od końca świata dzieliłoby nas jeszcze 9-ciu Papieży.

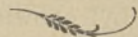
W sferze uczonych katolickich zdania co do t. z. proroctwa św. Malachiasza są bardzo podzielone. Najobszerniej pisał o niem duchowny francuzki Józef de Maisre *(La prophetie des Papes altribuie a St. Malachie.* Paryż 1901 i 1902, dwa tomy, 864 i 775 stronnic), który zupełnie wyraźnie oświadcza się za autentycznością i prawdziwością proroctwa. Natomiast w katolickim organie niemieckim *Köln. Volksz.* czytamy, co następuje: „Prawda, że określenia Papieży od Celestyna II do Sykstusa V-go (um. w r. 1590)są prawdziwe, ale chodzi przedewszystkiem o skonstatowanie, czy dewizy są dokładne właśnie po r. 1590-tym. Otóż, jeżeli nawet kilka określeń zgadza się z rzeczywistością, to przecież większość jest tak nieokreślona, że, jak to wykazał zresztą O. Zimmermann z T. J., wszystko da się pod nie podłożyć“.



Tren albo sen.

Szedłem cmentarzem, ścieżką dawno znaną,
Wśród mogił stopą moją wydeptaną,
Między posągi, krzyże, kwiaty, drzewa..
Cicha noc maju... kędyś słowik śpiewa...
Pod rosą w woniach rozmodlone kwiaty,
I dzwon północy rdzawą piersią woła,
I spłynął księżyc otulając światy,
Jak cichem skrzydłem cichego anioła..
I do jej grobu zbliżam się z daleka,
Widzę ją... siedzi... sama... zadumana..
Jak biały posąg, choć ziemi daleka,
Na grobie własnym, w marmury odziana
Twarz jej spokojna, w blaskach uśmiechniona,
Zdaje się słuchać anielskich sfer głosów,
Cierniowy wieniec wspomnień przeszłych losów,
Trzyma, poważna, jak rzymska matrona!
Zbliżam się — siwy włos jej powiew nocy
Rozwiewa, w koło róże się schylają
I taka cisza w ustroniu sierocej,
Że zda się słychać... jak tam oddychają!
Klękam i mówię jej z cichą rzewnością:
„O, chodź ty ze mną, wróć do mego domu,
Ja ciebie znowu otulę miłością
Uczuć dziecinnych; nie powiem nikomu...
Chodź, bo wieczorna ziębi ciebie rosa,
Wiatr siwe włosy odwiewa z twej skroni;
Chodź, ja ci całe przychylę niebiosa,
Z ciepłych rąk twojej nie wypuszczę dłoni.
W kaplicy naszej śnieżna lampa płonie,
Modlić się będziem jak w dawnym zakonie.
U nóg twych wiernie do snu się ułożę
I z strun wywołam te znane ci dźwięki,
Które lubiłaś. Całe tonów morze
Przebudzę w sercu... znane ci piosenki...
O, chodź! uścielę ci łoże — znasz drogę,
Siano dam tobie na pościel z łąk znanych.
Tu chłód pod sklepem tych głazów ciosanych,
Tu cię zostawić nie mogę, nie mogę...“
I twarz ukryłem w dłoniach, a łzy moje
Spadały cicho na róże i wrzosy,
I zdało mi się, że harmonii zdroje
W piersi wzbierają mej, całe niebiosy
Natchnień się budzą, i me oddychanie
Śpiewem się stało, a pierś organami,
Co tak błagała, jak arfy konanie,
W którą uderzył piorun nad grobami...
Ona anielsko rzekła uśmiechnięta:
„Wróć, bo jam z tobą! Dla was tu mróz wieczny
A dla nas wieczne słońce, cisza święta.
Mój dobry chłopcze, wierz w ranek słoneczny!
Tyżbyś mi wydrzeć chciał raj ukochany
I znów pogrążyć w walkach i cierpieniach,
I ten cierniowy wieniec krwią oblany,
Znów na me skronie wtłoczyć w twych na-
[tchnieniach?
Ja cię chroniłam przed żmij ukąszeniem,
Starości znałam cię jasnowidzeniem,
Dziś znam cię lepiej; przed każdem zaśnięciem
Skrzydeł cię duszy dotykam muśnięciem.
W akord modlitwy zestrój się z mym duchem,
Dusz rozdzielonych połączonym ruchem
Będziem płynęli w pośród gwiazd milionów,
Jak dwa łabędzie, w szafirach bez granic,
Wyżej i wyżej, aż do prawdy tronów...
Naprzód iść będziem — a marności za nic...
I wraz się zgoją serca twego blizny,
Gdy ujrzysz jasną przyszłość twej Ojczyzny!“
I wieniec cierni dała mi z swej dłoni,
Lecz już zielony był i pełen woni,
A ciernie znikły.. i na serca górach
Śniegi boleści topniały w lazurach.
W tem grób się rozwarł i niemo zstąpiła
W głąb, co wulkanów błysła aureolą,
I w głos organów odjękła mogiła
W tony świetlane jakieś, co nie bolą.
Dymy kadzideł jasną, wonną chmurą
Słały się w koło i powiały górą.
I chór świetlany w arf anielskich głosy
Wplótł mnie i porwał... O, ludzkości zorze!
Blaski! zachwyty! o rozkoszy morze!
Tonę... już całe pochłaniam niebiosy...
Jako na kwiatach brylantowe rosy,
Tak na źrenicach czuję łzy, co palą,
W pierś upadają. Płynę niebios falą
W nieskończonościach — ramiona wytężam,
Ach!... i miłością boleść mą — zwyciężam!

E... B...



Gabinety czarne.

(Dokończenie.)

W roku 1747 baron Scheel usunął się z gabinetu czarnego, czy też został oddalony, to wszakże pewno, że zniknął jak cień bez śladu. „O tem jego zniknięciu — robi uwagę Siepmann — byłoby dużo do powiedzenia“. Śmierć w objęciach „dziewicy podziemnej“ nie była w owych czasach rzeczą nadzwyczajną. A był to straszny rodzaj śmierci. Prowadzono ofiarę w koniec podziemnego korytarza, gdzie była statua młodej dziewicy, którą kazano nieszczęśliwemu pocałować na znak, że otrzymał przebaczenie. Tymczasem jak tylko doszedł do podnóżka posągu, usuwała się podłoga ruchoma i skazaniec zapadał

w przepaść, gdzie wyostrzone żelaza rozcinały go na sztuki.

Do subalternów należał także i żyd, który był takim artystą pieczętarzem jak Scheel w fałszowaniu pisma, i doskonale rzeźbił na mosiądzu i miedzi wszystko, co chciano podrobić i naśladować. Żyd ten, po odebraniu od niego przysięgi, zajmował się stale fałszowaniem różnych pieczęci, narobił ich mnóstwo w Polsce i Saksonii, a niektóre z nich, mianowicie pieczęć gabinetowa króla pruskiego i biur pocztowych w Berlinie i Poczdamie powinny jeszcze znajdować się w sekretnem archiwum drezdeńskiem.

W operacyach czarnego gabinetu miał także udział ślusarz nadworny, który dorabiał kluczyki do szkatułki, gdzie ambasador pruski Klinggraf chował cyfry i znaki umówione korespondencyj sekretnych. Rzecz prosta, że przy tem nie mogło się obyć bez pomocy urzędników pocztowych, których straszna przysięga zmuszała do zachowania tajemnicy. Sam król umówił się z Holtzbrinkiem, dyrektorem generalnym poczt w Polsce, o przesyłanie do czarnego gabinetu wszelkich listów, nadchodzących lub wyprawianych pocztą. W tym celu był również związany przysięgą sekretarz nadwornej izby pocztowej oraz naczelnik poczty w Lublinie, gdzie Siepmann ze swojem biurem pracował jakiś czas w samym gmachu pocztowym.

Do przejmowania depesz nadchodzących z Berlina dla ambasadora pruskiego w Dreznie i wyprawianych przez niego do swego dworu, używany był Hermann, główny dyrektor poczt saskich i naczelnik stacyi pocztowej w Grossenheyn, leżącej na trakcie berlińskim, o cztery mile od Drezna. Ow pan naczelnik był obowiązany otwierać wszystkie pakiety, przychodzące pocztą z Berlina, i znalezione w nich listy i depesze do ambasadora pruskiego odsyłać natychmiast sztafetą Hermanowi, który znów bezzwłocznie przesyłał je gabinetowi czarnemu, czyli tak zwanej urzędownie ekspedycyi sekretnej, gdzie te listy otwierano umiejętnie, a po odczytaniu ich oraz zrobieniu z nich kopij lub wyciągów i zapieczętowaniu, napowrót zwracano do głównego biura pocztowego dla doręczenia ich podług adresu w tym samym dniu i czasie, w którym zwykłe roznoszono inne korespondencye, przybyłe jednocześnie z Berlina. Pomimo takiego pośpiechu, zabrakło nieraz czasu do należytego zoperowania korespondencyi, więc zatrzymywano ją do najbliższego dnia, w którym przychodziła berlińska poczta, lecz wtedy zmieniano i fałszowano daty, położone na listach i depeszach, żeby zatrzeć dowody opóźnienia i powód do podejrzeń. Robota i tak już ciężka, stawała się przez to jeszcze uciążliwszą, jak się na to Siepman w swoim pamiętniku użala.

Prócz tego przekupywano służbę i inne osoby, należące do poselstwa, jak np. sekretarza Yagera, pisarza Rothego i kucharza ministra pruskiego w Dreznie, którzy otrzymywali pensye roczne i inne nagrody, za dostarczanie listów, raportów i depesz swojego pana. Następnie, za pośrednictwem tegoż Rothego, pozyskano sobie jeszcze i kamerdynera ambasadora Klinggrafa, który wykradł z toaletki ministra cyfry korespondencyjne, za pomocą dorobionego kluczyka i dostał za to 300 dukatów wraz z obietnicą dobrego miejsca. Ten sam zdrajca, podczas gdy Klinggraf bawił w Lipsku, dostarczył gabinetowi czarnemu sposobów dostawania się do najważniejszych dokumentów, zachowanych w archiwum legacyi pruskiej i ich odcyfrowania. Tą drogą rząd saski porobił nadzwyczaj interesujące odkrycia. Wkrótce potem ów kamerdyner uciekł do Polski i tu, pod zmienionem nazwiskiem, otrzymał miejsce przyrzeczone. Ambasador pruski powziął podejrzenie, ale pomimo usilnych poszukiwań i zapewnionej nagrody 1000 dukatów, nie można było odkryć zbiega.

Czarny gabinet przyjmował także, otwierał i odczytywał listy znakomitych Polaków, którzy drogą przyjacielskiej korespondencyi udzielali sobie poufnych wiadomości i sekretów, odnoszących się do ówczesnego krytycznego położenia ich ojczyzny. Tym sposobem, jak utrzymuje Siepmann, odkryty został spisek na króla, którego miano zabić wystrzałem z pistoletu w kościele, podczas nabożeństwa.

Podług pamiętników Siepmanna, zajęcia w gabinecie czarnym były nadzwyczaj uciążliwe, trudne i mozolne; on sam musiał nieraz pracować po całych nocach i dniach, albowiem żaden list choćby ich było jaknajwięcej, nie był wyjęty z pod kontroli; otwierano listy największych panów dworskich i najgodniejszych ministrów.

Siepmann mógł z początku otwierać listy bez żadnego uszkodzenia koperty i nie odejmując pieczęci lakowych, a to za pomocą pewnej masy, z której użytek był podwójny; raz bowiem służyła do robienia odcisków z pieczęci i pieczątek, a po stwardnieniu do pieczętowania nią korespondencyi zrewidowanych. Na tej masie zrobiono kilkadziesiąt odcisków z pieczęci najwyższych osób i dygnitarzy cesarstwa (ówczesnego niemieckiego). Później jednak, gdy liczba listów ciągle wzrastała i wypadało przygotowywać codziennie znaczną ilość takich odcisków, a na stwardnienie każdego z nich czekać jakiś czas, ten sposób pieczętowania napowrót listów okazał się bardzo uciążliwym i niedogodnym, gdyż trzeba było przetrzymywać dłużej w ekspedycyi sekretnej coraz większą ich ilość i coraz częściej nie można było odsyłać ich w terminie właściwym.

Dopiero zjawienie się i pomoc wzmiankowanego wyżej żyda pieczętarza i barona Scheela, biegłego podrabiacza cudzego pisma, zaradziło potrzebie i operacye odbywały się łatwiej i prędzej. Wtedy można już było bez obawy drzeć koperty listów i zastępować je nowemi, chociaż przy pieczętowaniu depesz pruskich zachodziła ciągle trudność w nadaniu im kształtu pierwotnego; a ztąd i obawa, żeby nie popaść w podejrzenie i żeby korespondencya między królem a jego posłem nie zaczęła być prowadzona samemi już tylko cyframi i znakami. Wprawdzie i z takich listów robili kopie, lecz ich nie mogli odczytać, dopóki znów wspomniany już kamerdyner ambasadora nie wykradł i nie sprzedał „klucza“ do ich odcyfrowania. Teraz manipulacya sekretna prowadziła się już bez przeszkód i dosyć prawidłowo. Tymczasem jedno nieostrożne odezwanie się pierwszego ministra zniweczyło całą wartość tego cennego nabytku i odjęło możność robienia dalej bardzo ciekawych odkryć dyplomatycznych.

Poseł pruski w Dreznie otrzymał był depeszę cyfrowaną od króla, obejmującą instrukcye w sprawach państwowych największej wagi, ale hr. Brühl już o godzinie 8-ej rano miał w ręku dokładną treść tej depeszy. Około południa tego samego dnia pierwszy minister, znajdując się u dworu, był na tyle nieoględnym, że w obecności posła pruskiego zrobił do ambasadora francuskiego pewną aluzyę, która kazała się domyślać, że Brühl zna doskonale treść owej sekretnej instrukcyi. To, naturalnie, rozbudziło podejrzenie w ambasadorze pruskim, który, powróciwszy do siebie, oświadczył swemu kamerdynerowi (temu właśnie, który, wykradł „klucz“), że jest przekonany, iż otaczają go zdrajcy, albowiem hr. Brühl tylko co powiedział coś takiego, o czem wie tylko Bóg, król i on sam dopiero od dzisiaj rano i t. d. Kamerdyner zaprzeczył wszystkiemu i starał się uspokoić swojego pana, ale zaraz doniósł o tem współzdrajcy Rothemu, a ten znów pierwszemu ministrowi, który też

z przykrością przekonał się niebawem o skutkach swego niebacznego odezwania się. Pierwszą zaraz pocztą poseł pruski wyprawił depeszę cyfrowaną do króla, zawiadamiającą o wypadku i o powziętem podejrzeniu, która, jak inne, przeszła przez gabinet czarny i Brühl zaraz się o jej treści dowiedział. Ale nieukontentowanie saskiego ministra było tem większe, gdy się przekonał, że król pruski, w odpowiedzi również cyfrowanej, którą także przejęto i odczytano, wyraził to samo podejrzenie i ze swej strony w słowach jeszcze silniejszych, i zawiadomił posła, że wkrótce przez osobnego kuryera otrzyma inny klucz cyfrowy. Klucz ten niebawem został przysłany, ambasador oddał go do przechowania sekretarzowi swemu Hechtowi, co już odjęło wszelką możność wykradzenia go powtórnie.

Mimo to, czarny gabinet sasko-warszawski operował dalej jeszcze przez jakiś czas, chociaż z mniejszem powodzeniem, zwłaszcza pod względem odkrywania tajemnic pruskich. Z czasem zabrali mu zapomogę i pracowników najważniejszych. Siepmann popadł w niełaskę i usunął się. Scheel zniknął w sposób tajemniczy, zręczny pieczętarz także niewiadomo gdzie się podział, kamerdyner uciekł, inni, podrzędni agenci i pracownicy pomarli, albo wyszli ze służby i pochowali się po kątach. Zabrakło wreszcie głównego opiekuna i protektora tej instytucyi, a i stosunki polityczne, oraz coraz skuteczniejsze środki zabezpieczenia się przeciwko podobnym nadużyciom, nie sprzyjały, zwłaszcza w Polsce, dalszemu istnieniu owej ekspedycyi sekretnej. Stopniowo więc działalność gabinetu czarnego zmniejszała się i ustawała, czy zaś ten nie odrodził się w Dreznie w nowej i doskonalszej postaci, o tem nie wspomina ani Klüber w swojej „Chryptografii", ani Siepmann, który umarł dopiero w 1789 r., w swoich pamiętnikach.

Ta gra podstępna i fałszywemi kartami z królem pruskim nasunęła prawdopodobnie Fryderykowi zwanemu Wielkim, myśl odpłacenia pięknem za nadobne, chociaż wiadomo, że do tego rodzaju pomysłów miał dosyć własnych inwencyi i nie potrzebował szukać do nich wzorów gdzieindziej. Niebawem też nastąpił cały szereg zdrad ze strony niejakiego Menzla, tajnego sekretarza gabinetu saskiego. Człowiek ten od roku 1762 aż do wybuchnięcia wojny siedmioletniej, prawie co tydzień wydawał posłowi pruskiemu w Dreźnie kopie najważniejszych dokumentów z sekretnego archiwum drezdeńskiego i kopie depesz, jakie rząd saski odbierał z Wiednia i Petersburga. Tą drogą Fryderyk II otrzymywał pewne i dokładne wiadomości o tajemnych zamiarach tych gabinetów, a w szczególności o ich planach wojennych, układanych przeciwko niemu.

Zmieniają się ludzie, okoliczności, pojęcia, zasady, wzajemne stosunki państw i narodów ale nieufność, przeniewierstwa, podstępy, zdrady i kradzieże polityczne są i dziś na porządku dziennym, jak bywały dawniej, a teraźniejsze środki podpatrywania nie różnią się od praktykowanych w zeszłych wiekach.

W.

ŚWITEM.

Budzi się las
Z swych drzemek sennych
W brzaskach promiennych
I w szkliwie ros,
W pełni wiosennych
Przepięknych kras,
I śpiewem ptastwa, drzewnymi szmery,
Wznosi się w górę, bije w etery
Jego chorału głos.

Budzi się las,
Jutrznia go złoci;
Śród tworów kroci
Już życie wre;
Walka o byt swój, nienawiść ras.
Ty, coś pić przyszedł świeże oddechy,
Co tu odczuwasz tylko uśmiechy,
Woń, światła grę,
Patrz, tu dobija mrówka robaka,
Tam rozdartego krwawy puch ptaka,
Walka jednostek i walka mas;
Targanie nerwów i krwawe rany,
Jęki ginących, zwycięstw peany,
Śród traw czy palm,
I potężniejszy nad wszystkie moce
Chorał ptaszęcy w latowe noce,
Co woła w życie, chociaż u stóp
Otchłań ziejąca i czeka grób,
I potem znowu żałoby psalm
Tworów kończących istnienia czas...
Budzi się las!

O ty, Przyrodo, co masz w swej dłoni
Na wszystko moce, na wszystko broń,
Czar, co w płomienie ćmy nocne goni
I upojenia cudowny trunek,
Nim ból porodu, wprzód pocałunek,
Sławę na cierniem zwieńczoną skroń!
Ty pędzisz, niby ogromna rzeka,
Straszne zastępy ruchliwych fal;
Lecz próżno umysł ludzki docieka,
Z wyżyn, czy z hal,
Co kryją twoje groźne topiele?
Gdzie twe granice? Jakie twe cele?
Kto głębie morskie przejrzał do dna?
I kto zagadkę twą dziwną zna?
Dokąd zdążają twoje otchłanie?
W wieczystą nicość, czy wieczne trwanie,
Gdy czas na wieków wartkim rydwanie
Uchodzi w dal, w dal, w dal?...

Adam M—ski.

Zabójstwo cara Pawła I.*)

23 marca 1801 roku.

(Ciąg dalszy.)

Paweł zmieniwszy zimowy pałac, ten seraj męzki matki swojej, na kordegardę, przeniósł się do Michajłowskiego zamku, którego, nie dowierzając miłości poddanych swoich, otoczył wałem i rowem napełnionym wodą. Zamek wyglądał jak forteca; cztery spuszczające się mosty prowadziły do niego; co wieczór po nadejściu zorzy mosty podejmowały się. W tym barłogu, jak Tyberjusz na Kaprei, Paweł uważał siebie za zupełnie bezpiecznego na wypadek buntu ludowego, lub powstania wojska. Warty na zamku utrzymywały kolejno pułki gwardyjskie. Na dole, na głównej kordegardzie, znajdowała się kompania z chorągwią, pod dowództwem kapitana i dwóch oficerów. W beletażu stała wewnętrzna warta, na którą naznaczali się żołnierze przybocznego batalionu przeobrażeńskiego pułku, których Paweł bardzo lubił i którym dowierzał zupełnie. Pomieściwszy ich w Zimowym pałacu w części sąsiedniej z ermitarzem, car odznaczył oficerów i żołnierzy bogatym mundurem. Pierwsi mieli złotem wyszywany kołnierz, a drudzy galon na piersiach. Batalion ten chciał car oddzielić od pułku i nazwawszy „leib-kompanią" dać jej szczególne przeznaczenie: ochraniać carską osobę.

W zamku garnizonowa służba odbywała się jak w oblężonej fortecy, ze wszystkiemi wojennemi ostrożnościami. Po nadejściu wieczornej zorzy tylko bardzo niewiele osób, znanych szwajcarowi i zamkowej straży, wpuszczało się do zamku przez mały mostek, który się dla nich spuszczał. Do liczby tych niewielu należał adjutant owego batalionu przeobrażeńskiego pułku, pułkownik Argamakow, pełniący obowiązek plac-adjutanta zamku. Obowiązkiem jego było donosić cesarzowi o każdym nadzwyczajnym wypadku w mieście, n. p. o pożarze, o buncie etc. Paweł zupełne miał zaufanie do tego człowieka i Argamakow nawet w nocy mógł wchodzić do sypialnego pokoju

*) W poprzednim nagłówku mylnie wydrukowano wyraz „Piotra" zamiast „Pawła." — Przyp. Red.

cara. Mostek dla pieszych spuszczał się zawsze na jego rozkaz. Dlatego też Argamakow stał się jednym z najważniejszych członków spisku.

12-go marca nastąpił ostatni dzień Pawła. Z rana przejeżdżając konno z faworytem swoim Kutajsowym przez plac Suwarowa, Paweł spotkał jednego nędznie ubranego człowieka, który podał mu list Koń cara przestraszył się i tak się zaczął rzucać, że car nie mógł sam wziąść listu i kazał go oddać Kutajsowi; w liście było doniesione o wszystkich szczegółach spisku. Lecz Kutajsow wezwany na obiad do cara zmienił odzienie, i tym sposobem zapomniał go przeczytać.

Wieczorem Palen wypuścił z fortecy kilku młodych oficerów z arystokratycznych rodzin, którzy w ten dzień byli zdegradowani, ukarani okropnie cieleśnie i posłani do fortecy za występki, które nie warte były nawet wymówki. Na wezwanie Palena zebrali się u niego wieczorem główni spiskowcy: Zubowy, Benigsen, wielu oficerów gwardyi i armii w pełnej formie w szarfach i przy orderach. Gościom rozdawano szampan, poncz i różne wina. Wszyscy wypróżniali kieliszek za kieliszkiem, oprócz gospodarza domu i Benigsena.

Palen, Zubowy i Benigsen (w tym zebraniu nie było Panina i Waleryana Zubowa) zwracali się do patryotyzmu obecnych, mówili o smutnem położeniu państwa i o tem, że samowładny car zgubi je, że jedyny środek zapobieżenia większym nieszczęściom jest zmusić Pawła zrzec się tronu i że sam następca tronu uważa za konieczne udać się do tego ostatecznego środka. Nikt nie wspomniał nawet o przyszłym losie cara. Spiskowcom, oprócz niewielu, do głowy nie przychodziło, żeby życiu jego zagrażało jakie niebezpieczeństwo. Uniesieni temi mowami, a jeszcze więcej wypitem winem, spiskowcy prosili, żeby ich natychmiast zaprowadzić na sławne dzieło — zbawienia ojczyzny.

Palen i jenerał Tałyzin przewidując to, dali rozkaz, żeby około północy 12 (23) marca jenerał Depreradowicz z pierwszym batalionem siemianowskiego pułku a pułkownicy Zapolski i książę Waziemski z 3 i 4 batalionami przeobrażeńskiego pułku wystąpili na punkt naznaczony około ogrodu, otaczającego Michajłowski zamek.

Otrzymawszy doniesienie, że ruch wojsk już się zaczął spiskowcy rozdzielili się na dwa oddziały: pierwszy pod dowództwem Benigsena i Zubowych, a drugi pod dowództwem Palena. W obydwóch było około sześćdziesięciu osób. Na przedzie pierwszego oddziału szedł adjutant Argamakow, który powinien był ułatwić przejście przez most spiskowcom. Palen pozostał z częścią spiskowców z tyłu i przyłączył się do gwardyjskich wojsk, które już stanęły na punkcie zbioru. Argamakow idąc na czele oddziału Zubowych przeprowadził go przez most i tak weszli do zamku. Na wstępie stojący na warcie żołnierz nie chciał ich wpuścić. Nas wezwał cesarz na naradę o wojnie, powiedziano mu i żołnierz oszukany wielką liczbą jenerałów, znajdujących się w oddziale, puścił ich. Jenerał Tyłyzin posunął bataliony swoje naprzód i otoczył zamek. W ogrodzie zlatywało się na noc mnóstwo kawek i wron; ptactwo przestraszone ruchem wojsk, zerwało się z szumem i wrzaskiem i przeraziło dowódzców i żołnierzy, którzy ten wypadek przyjęli za złą wróżbę.

Zubow i Benigsen z oddziałem udali się do pokoju, gdzie stał Paweł. Na przedzie szedł Argamakow, który codziennie chodził z raportem do cara. On przeprowadził spiskowców po schodach do przedpokoju, w którym zawsze stali na straży dwaj huzarzy i dyżurny kamerdyner.

Gdy przechodzili po korytarzu, prowadzącym do przedpokoju, zatrzymał ich żołnierz na warcie stojący głośnem zapytaniem:

— Stój, stój!

— Milcz — odpowiedziano mu — ty widzisz, dokąd idziemy.

Żołnierz pojąwszy o co rzecz chodzi namarszczył brwi i znowu krzyknął:

— Rund przechodź!

Tym sposobem jeżeliby car usłyszał szmer, zdawałoby mu się, że to zwyczajny obchód rundu. Po tym wypadku Argamakow poprowadził ich jak najspieszniej naprzód i cicho zapukał do drzwi przedpokoju. Kamerdyner nie otwierajac drzwi zapytał go, co mu potrzeba.

— Idę z raportem do cesarza.

— Czy pan zwaryowałeś, teraz północ!

— Co ty mówisz, już szósta z rana, otwieraj prędzej, bo inaczej cesarz na mnie będzie się gniewać.

Kamerdyner otworzył i widząc siedmiu lub ośmiu ludzi wchodzących z wyciągniętemi szablami, schował się do kąta. Jeden huzar chciał się bronić i wyjął już pistolet, lecz otrzymawszy cięcie w głowę upadł krzycząc „zdrada." Oficerowie rzucili się na niego i na jego przestraszonego kolegę, odebrali broń, zamknęli gębę i wyprowadzili ich razem z kamerdynerem z pokoju.

Zubow, Benigsen, Argamakow i kilku oficerów weszli do sypialnego pokoju Pawła. Car przestraszony niezwyczajnym szmerem i krzykiem żołnierza, wyskoczył z łóżka, chwycił za szpadę i schował się za parawanem.

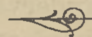
Książę Platon Zubow, nie znalazłszy Pawła w łóżku, przestraszył się nadzwyczajnie i powiedział po francusku: l' oiseau s'est envolé; lecz Benigsen opatrzywszy pokój znalazł Pawła schowanego za parawanem ze szpadą w ręku i salutując mu szpadą objawił, że go aresztuje w imieniu cesarza Aleksandra, że życiu jego nie grozi żadne niebezpieczeństwo, żeby się tylko nie bronił. Paweł nic nie odpowiadał, lecz przy świetle lampy można było widzieć przestrach i przerażenie, które się malowały na twarzy tyrana. Benigsen nie tracąc czasu znowu opatrzył pokój. Jedne były w nim drzwi tylko, które prowadziły do pokojów carowej; drugi pokój, w którym znajdowała się garderoba, był bez wyjścia; dwa inne były napełnione różnemi papierami, tam znajdowały się pułkowe chorągwie i mnóstwo szpad, należących do aresztowanych oficerów. Jeżeliby car w pierwszej chwili zachował choć trochę przytomności, to mógłby uciec przez pokoje carowej, lub po potajemnych schodach, znajdujących się za jego łóżkiem, które prowadziły do rowu, otaczającego zamek; tam zawsze stała w pogotowiu łódka. Lecz strach odjął mu przytomność tak, że przy pierwszym szumie schował się za parawanem, być może i dla tego, że się lękał wejść do carowej, nie przypuszczając, żeby spisek przeciwko niemu mógł być inaczej prowadzony jak za jej zgodą, bo wiedział, że lud tak ją lubił, jak jego nienawidził.

W tym czasie gdy Benigsen zamykał drzwi, kładł klucze do kieszeni i obcasem butu psuł sprężynę, służącą do otwierania potajemnych schodów, Zubow powtarzał ciągle Pawłowi, że on jest aresztantem cesarza Aleksandra.

Jakto aresztantem? — zapytał go Paweł, a potem dodał — cóż ja wam zrobiłem panowie?

— W ciągu czterech lat byłeś tyranem naszym — odpowiedział mu jeden z spiskowców.

(Dokończenie nastąpi.)



Walka byków w Hiszpanii.

(Wspomnienia z Hiszpanii.)

Napisał

Henryk Sienkiewicz.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Więc, z głuchym rykiem i krwawemi oczyma, poczyna biedz przed siebie na oślep i nagle wstrzymuje się: nowy widok uderza jego oczy — jest-to „pikador" na koniu.

Pikadorowie stali dotąd na swych chudych rumakach, jako posągi z lancami do góry. Byk, zajęty wyłącznie nienawistnemi kapami, nie widział ich dotąd, a jeśli i zauważył, to pomijał.

Nie zdarza się prawie nigdy, by byk zaczynał najprzód z nimi walkę. Kapy pochłaniają jego uwagę i całą wściekłość. Może zresztą pikadorowie są podobni do jego półdzikich pastuchów w Sierra-Morena, których czasami zdaleka widywał i przed którymi zwykł był pierzchać wraz z całem stadem.

Lecz teraz dość ma kap; jego furya szuka chciwie jakiegoś ciała, któreby mógł przebość i nasycić swą zemstę.

Dla widzów, nie przywykłych do tego rodzaju igrzysk, nastaje chwila straszna. Każdy pojmuje, że za chwilę krew musi być rozlana.

Byk zniża głowę i cofa się kilka kroków, jakby dla nabrania rozpędu; pikador zwraca nieznacznie konia prawą stroną ku napastnikowi, aby rumak, mający prawe oko przewiązane chustką, nie mógł cofnąć się w chwili napadu. Lanca o krótkiem ostrzu zniża się w kierunku byka; ów cofa się jeszcze. Zdaje ci się, że się cofnie zupełnie i ściśnięte twe piersi poczynają lżej oddychać.

Nagle byk wali się naprzód na kształt skały, toczącej się z góry w przepaść. Przez mgnienie oka widzisz lancę wygiętą, jak pałąk, którego ostry koniec tkwi w karku byka — i potem staje się rzecz poprostu ohydna. Potężna głowa i kark rozjuszonego zwierzęcia giną pod brzuchem końskim, rogi pogrążają się aż po nasadę we wnętrznościach; czasem byk podnosi i jeźdźca i konia w górę, czasem widzisz tylko wzniesiony zad koński, kopiący konwulsyjnie powietrze — zaczem jeździec pada na ziemię, koń wali się na niego i słychać chrobot siodła; z konia, jeźdźca i siodła tworzy się bezkształtna masa, którą rozszalały byk depce i przygważdża rogami.

Twarze nieprzywykłych do widowiska bledną. Widziałem w Barcelonie i Madrycie Angielki, których oblicza stawały się białe, jak płótno. Każdy, kto jest pierwszy raz w cyrku, ma wrażenie katastrofy. Gdy się widzi jeźdźca, zwiniętego w kłąb, gniecionego ciężarem siodła i rumaka, a nad tem wszystkiem rozszalałe zwierzę, maczające ze wściekłością rogi w tej kupie mięsa, zdaje się, że dla człowieka nie masz żadnego ratunku i że służba podniesie tylko z piasku krwawego trupa.

Lecz to złudzenie! Wszystko, co się dzieje, leży w programie widowiska.

Jeździec, pod irchą i haftami, ma zbroję, która go broni od zgniecenia — upadł zaś umyślnie pod konia, aby ów zasłonił go swem ciałem od rogów. Jakoż byk, widząc przed sobą mięsistą masę końskiego brzucha, na nim głównie wywiera swą wściekłość. Dodajmy do tego, że czas katastrofy liczy się na sekundy. Kapeadorowie opadli już byka ze wszystkich stron, ten zaś, chcąc się od nich opędzić, musi porzucić swe ofiary. Jakoż porzuca je, goni znów za kapeadorami; dymiące, zmaczane we krwi jego rogi znów zdają się dotykać tuż tuż ich pleców. Oni, w ucieczce, przeprowadzają go w drugą stronę areny, inni zaś tymczasem wydobywają zaraz z pod konia pikadora, który pod ciężarem zbroi ledwie może się ruszać — i przerzucają go za parkan.

Koń próbuje się także podnieść, często nawet podnosi się jeszcze na chwilę, lecz wówczas straszny widok uderza oczy widzów. Oto z rozdartego brzucha zwiesza mu się cały wór wnętrzności, wraz z różową śledzioną, sinawą wątrobą i zielonawym żołądkiem. Nieszczęsne zwierzę usiłuje postąpić kilka kroków, lecz drżące nogi plączą mu się we własne kiszki, więc pada, kopie ziemię kopytami, drga — tymczasem nadbiega służba, zdejmuje siodło i uzdę, męki zaś konia kończy uderzeniem sztyletu tam, gdzie głowa łączy się z szyją.

Na arenie zostaje nieruchomy trup, który teraz, leżąc na boku, wydaje się dziwnie płaski. Wnętrzności prędko wynoszą się w koszu, podobnym do balii, a publiczność bije z zapałem oklaski. Entuzyazm poczyna ją ogarniać: *„bravo el toro! bravo pikador!"* oczy się iskrzą, na twarze występują rumieńce kilka kapeluszów leci na cześć pikadora na arenę.

„El toro" tymczasem, zaprawiwszy się raz na krwi, zabija kilka innych koni. Jeśli rogi jego pogrążą się nie w brzuch, ale pod łopatkę konia, wówczas strumień czarnej krwi bucha na arenę z nadzwyczajną obfitością, koń wspina się i przewraca wraz z jeźdźcem nawznak. Człowiekowi grozi podwójne niebezpieczeństwo, bo: rogi byka, lub, mimo zbroi, skręcenie karku. Lecz, jak powiedzieliśmy, ciało konia stanowi zasłonę dla jeźdźca. Każdy też z pikadorów stara się przyjąć walkę na skraju areny, aby w ten sposób być niejako ukrytym między trupem konia, a parkanem. Gdy byk cofa się, pikador postępuje za nim, lecz tylko kilka kroków, tak, że walka nigdy nie odbywa się na środku.

Wszystkie te jednak ostrożności nie przydałyby się na wiele i byk koniec końcem przygwoździłby jeźdźca, gdyby nie kapeadorowie. Oni to naciskają byka, odrywając jego uwagę, narzucając się z niesłychanem zuchwalstwem jego wściekłości, ratując cochwila życie komuś z uczestników walki. Widziałem wypadek, że jeden z espadów, cofając się przed rozjuszonem zwierzęciem, potknął się o głowę zabitego konia i padł wznak; zawisła nad nim śmierć nieunikniona, rogi byka już miały przeszyć jego pierś, gdy nagle między tą piersią a rogami wionęła czerwona kapa, i byk poleciał za kapą. Można powiedzieć, że gdyby nie to stado szympansów, powiewających czerwonemi płachtami, rzemiosło pikadorów byłoby niemożliwe i na każdem przedstawieniu ginęłoby ich tyleż samo ile koni.

Rzadko się zdarza, by pikador zdołał utrzymać byka na ostrzy lancy. Zdarza się to tylko wówczas, gdy albo byk naciera miękko, albo gdy pikador obdarzony jest olbrzymią, przechodzącą ludzką miarę, siłą ramienia. Widziałem takie dwa wypadki w Madrycie, po których nastąpił prawdziwy huragan oklasków dla jeźdźca.

Lecz zwykle byk zabija konie jak muchy — i straszny jest wówczas, gdy okryty potem, świecący się w słońcu, z zakrwawionym od lanc karkiem i ubarwionemi na czerwono rogami, obiega arenę jakby w upojeniu zwycięstwa. Głuchy ryk wydobywa się z jego potężnych płuc, czasem rozpędza kapeadorów, czasem zatrzymuje się nagle nad nieruchomem już ciałem konia i mści się nad niem straszliwie; porywa je na rogi, obnosi wokół areny, obrzucając skrzepłemi kroplami krwi widzów pierwszego rzędu; to znów zrzuca je na poplamiony piasek i dziurawi na nowo. Widocznie wydaje mu się, że widowisko jest już ukończone i że skończyło się jego tryumfem.

Lecz widowisko zaledwie dobiegło połowy. Pikadorowie, których konie ocalały z pogromu, wyjeżdżają wprawdzie z areny, lecz na ich miejsce wbiegają w podskokach i wśród okrzyków sprężyści „banderilleros." Każdy z nich, we wzniesionych do góry rękach, ma dwie strzały na łokieć długie, przybrane — odpowiednio do kaftana banderillera — w niebieskie, zielone lub czerwone wstążki, a zakończone haczykowatem ostrzem, które raz wbite pod skórę, już z niej nie wypadnie. . Ci poczynają krążyć koło byka, trzęsąc strzałami, wyciągając ku niemu ostrza, grożąc i podskakując. Byk toczy krwawemi oczyma, zwraca głowę w prawo, w lewo i spostrzega,

że to są nowi jacyś nieprzyjaciele: „Ach — mówi widocznie do siebie — mało wam było krwi, chcecie więcej — dobrze!“ — i wybrawszy człowieka, rusza z kopyta.

Lecz cóż się to dzieje? Pierwszy z brzegu banderillero zamiast uciekać, pędzi ku bykowi — przebiega mu przed głową, jakby go chciał pominąć, lecz w jednej tej sekundzie zawisło coś tęczą w powietrzu: człowiek z pustemi już rękoma pędzi, ile siły w nogach, do parkanu, a w karku byka zostaje para barwistych strzał.

Po chwili tkwi już druga para, a po chwili trzecia — razem sześć, o trzech kolorach. Kark zwierzęcia wygląda teraz jak gdyby przybrany w pęki kwiatów, lecz te kwiaty mają straszniejsze od wszystkich w świecie róż kolce. Za każdym ruchem byka, za każdym rzutem głową strzały poruszają się, trzęsą, przelatują z jednej strony karku na drugą, a każde ostrzę wierci tem samem w ranie. Oczywiście z bólu zwierzę wpada w obłęd wściekłości, lecz im bardziej się rzuca, tem ból większy. Dotychczas byk czynił krzywdę, teraz poczyna się dziać jemu krzywda, i to straszna. Chciałby pozbyć się tych bolesnych strzał, lecz nie ma na to rady.

Wścieka się oto tylko z męki i nuży się do ostatka. Piana pokrywa jego nozdrza, język wysuwa się z pyska — już nie ryczy, ale w krótkich przerwach, między dzikiemi okrzykami, klaskaniem i wrzaskiem widzów, słychać jego jęk z akcentem niemal ludzkim. Zmęczyli go kapeadorowie, skaleczył go każdy pikador, teraz wiercą się mu w skaleczeniach strzały; dopełniają męki upał i pragnienie.

Szczęście jego jeszcze, że nie dostał innego rodzaju banderilli. Jeśli — co się jednak rzadko zdarza — byk odmawiał ataku na konie i nie zabił żadnego, wówczas rozwścieczona publiczność wstaje, i w cyrku poczyna się coś na kształt rewolucyi. Mężczyźni z laskami, kobiety z parasolkami i wachlarzami zwracają się do loży królewskiej; dzikie, chrapliwe głosy okrutnych „caballeros“ i przeraźliwe „senorit“ wrzeszczą jeden tylko wyraz: „Fuego! fuego! fuego!“

Przedstawiciele władzy długo nie zgadzają się, więc „Fuego!“ brzmi coraz groźniej, głuszy wszystkie inne głosy; groźba dochodzi do takiego natężenia, iż zdaje się, że lada chwila publiczność od słów przejdzie do jakichś szalonych uczynków. Upływa pół godziny: „Fuego! Fuego!“ Nie ma rady. Dają znak i oto nieszczęsny byk dostanie banderille, które przy zatknięciu w kark zapalają się jednocześnie. Ostrze ich rani swoją drogą, a swoją drogą kłęby dymu otoczą głowę zwierzęcia; huk fajerwerków ogłuszy je; wielkie iskry będą mu wpadały do ran, małe race kongrewskie będą pękały mu pod skórą; zapach skwierczącego mięsa i spalonej sierści napełni arenę. Istotnie, okrucieństwo nie może iść dalej, ale też i zachwyt publiczności dochodzi wówczas do zenitu. Kobietom oczy zachodzą mgłą z upojenia, każda pierś dyszy z lubością, głowy podają się w tył, a z rozchylonych wilgotnych warg połyskują białe zęby. Rzekłbyś: męka zwierzęcia odbija się w tych niewieścich nerwach równie natężonem wrażeniem rozkoszy. Tylko w Hiszpanii można podobne rzeczy widzieć. Jest w tem zapamiętaniu się coś hysterycznego, co przypomina jakieś misterye fenickie, spełniane na ołtarzu Melitty.

Zręczność i zuchwalstwo banderillerów przechodzi wszelką miarę. Widziałem jednego z nich, który usiadłszy na środku areny, na krześle, wyciągnął niedbale przed się swe różowe nogi, skrzyżował je i trzymając nad głową banderille, czekał na byka. Ów rzucił się nań natychmiast i w mig później dostrzegłem tylko banderille już wpięte w kark, i byka, który wściekłemi uderzeniami głowy rozbijał na drzazgi stołek. Jakim sposobem banderillero wychynął na zewnątrz między krzesłem i rogami, nie wiem; jest to tajemnica jego zręczności. Drugi banderillero, na temże samem przedstawieniu, chwyciwszy lancę pikadora w chwili ataku, wsparł się i przeskoczył przez całą długość byka, który stanął jak osłupiały, nie mogąc pojąć, gdzie mu się podziała ofiara.

Takich cudów zuchwalstwa i zręczności widzi się mnóstwo na każdem przedstawieniu.

Jeden byk nie dostaje nigdy więcej jak trzy pary banderilli. Gdy to zadanie zostaje spełnione, znów w orkiestrze odzywa się długą i żałosną nutą samotna trąbka — i nadchodzi chwila najbardziej wzruszająca, najbardziej tragiczna z całego widowiska. Wszystko, co się działo dotąd, było tylko przygotowaniem do niej. Teraz rozegra się czwarty akt dramatu.

Oto na arenę wchodzi właściwy matador, to jest: „espada.“

Ubrany on jest tak samo, jak inni uczestnicy igrzyska, jeno wytworniej i suciej. Kaftan na nim cały od złota i haftów; pierś zdobią cenne karonki. Odróżnić go można i po tem, że występuje zawsze bez kapelusza. Czarne jego włosy, zaczesane starannie w tył, kończą się na plecach małym warkoczykiem. W lewej ręce trzyma czerwoną sukienną chorągiewkę, w prawej toledańską długą szpadę. Kapeadorowie otaczają go jak żołnierze wodza, gotowi zawsze w chwili niebezpieczeństwa skoczyć na ratunek, a on zbliża się do byka skupiony, chłodny, ale groźny i zwycięzki.

W całej widowni serca biją silnie i nastaje chwila ciszy.

W Barcelonie i Madrycie widziałem czterech najsłynniejszych w całej Hiszpanii „espadas“ i doprawdy przypuszczam, że poza swą zimną krwią, zręcznością i wprawą, mają oni w sobie jakąś siłę hypnotyczną, która działa na zwierzę i napełnia je tajemniczą trwogą. Byk poprostu inaczej zachowuje się względem espady niż względem poprzednich uczestników igrzyska. Nie idzie zatem, żeby się miał przed nim cofać: przeciwnie, napada go z większą może natarczywością. Ale w poprzednich jego atakach, prócz zaciekłości, była widocznie jeszcze pewna ochoczość. Gonił, rozpraszał i zabijał tak, jakby był przekonany, że całe to widowisko jest dla niego i że chodzi tylko o to, aby on zabijał. Teraz, na widok tego zimnego, strasznego człowieka ze szpadą w ręku, przekonywa się, że to nad nim jest śmierć, że musi zginąć, że tu, na tym krwawym piasku spełni się za chwilę ta rzecz okropna.

Owa psychologia zwierzęcia jest tak jasna, że każdy ją odgadnie. Może być nawet, że ona, przez swą tragiczność, stanowi urok widowiska. Ten potężny organizm, kipiący wprost nadmiarem życia, ochoczości, siły — nie chce umierać, nie chce za nic w świecie! A tu śmierć idzie nieunikniona, nieprzeparta, więc nieopisany żal, nieopisana rozpacz przebija we wszystkich ruchach zwierzęcia. Na kapeadorów, których dawniej ścigał tak zawzięcie, zaledwie teraz zwraca uwagę; atakuje samego „espadę,“ ale atakuje z zupełnie wyraźną rozpaczą.

Ów zaś nie zabija odrazu, bo wedle prawideł igrzyska nie jest to dozwolone. Zwodzi on byka ruchami chorągiewki, sam usuwa się z pod rogów za pomocą lekkich, a nieznacznych obrotów; upatruje chwili, to cofa się, to postępuje naprzód; pragnie widocznie nasycić publiczność, już, już wznosi szpadę — i zniża ją znowu.

Walka przetacza się po całej arenie, rozświeca się w słońcu, przygasa w cieniu. W cyrku zrywają się okrzyki, to powszechne, to pojedyncze z piersi jakiej seniority, która nie może pohamować swego zapału. Czasem grzmią brawa, czasem, jeśli espada cofnął się niezręcznie lub zadał cios zawodny, gwizdania rozdzierają uszy. Już byk

dał kilkadziesiąt uderzeń rogami — zawsze w chorągiewkę, już publiczność ma dosyć, już odzywają się tu i owdzie głosy: *„Matá el toro! mata el toro!“* — zabij byka.

I oto następuje błysk tak nagły, że oko uchwycić go nie może — potem grupa walczących rozprasza się — i w karku byka, nad barwnemi banderillami, widać czerwoną rękojeść szpady. Ostrze przeszło przez kark i tkwi pogrążone w dwóch trzecich w płucach zwierzęcia.

Espada pozostaje bezbronny; byk atakuje go jeszcze, lecz on uwodzi go po staremu chorągiewką, sam półobrotami chroni się od uderzeń.

Tymczasem zdaje się, że w cyrku ludzie poszaleli. Już nie krzyki, ale ryk i wycie rozlegają się wokół, od góry do dołu. Wszyscy zrywają się z miejsc. Na arenę lecą bukiety, cygarniczki, kapelusze, wachlarze... Walka ma się ku końcowi.

Bo oto oczy byka zachodzą bielmem, z pyska zwieszają mu się stalaktyty krwawej śliny, jęk jego staje się chrapliwy. Noc obejmuje mu głowę. Niczem mu już blask i żar słoneczny. Atakuje jeszcze, ale jakoby już przez sen. Coraz mu ciemniej i ciemniej. Nakoniec zbiera resztki przytomności — cofa się pod parkan — przez chwilę chwieje się i klęka na przednie nogi, potem na tylne — i poczyna konać.

Espada już na niego nie patrzy; oczy ma zwrócone ku widzom, zkąd kapelusze i cygarniczki lecą ciągle, nakształt gradu; kłania się; kapeadorowie odrzucają widzom kapelusze.

Tymczasem przez parkan przełazi cicho czarno ubrany, tajemniczy człowiek, przykłada bykowi sztylet tam, gdzie kręgi szyi schodzą się z czaszką, zanurza go lekkim ruchem po rękojeść i zawierca.

Jestto cios miłosierdzia, po którym głowa byka opada na bok.

Wszyscy uczestnicy walki wychodzą. Przez chwilę arena pozostaje pusta — widać na niej tylko trupa byka i ostygłe już, wypatroszone trupy czterech lub pięciu koni.

Ale po chwili wpadają wielkim pędem ludzie z mułami, przybranemi wspaniale w żółte i czerwone kulki; zaprzęgają owe muły do trupów i zataczają z niemi koła tak, aby publiczność mogła się jeszcze widokiem nacieszyć, poczem równie wielkim pędem wypadają za drzwi areny.

Lecz nie sądźcie, aby widowisko kończyło się na śmierci jednego byka. Po pierwszym następuje drugi, po drugim trzeci i t. d. W Madrycie ginie na przedstawieniu sześć byków. W Barcelonie, w czasie wystawy, bito po ośm.

Nie sądźcie również, aby publiczność nużyła się jednostajnością walki. Najprzód sama walka urozmaica się licznemi epizodami, których przyczyną bywa temperament, większa lub mniejsza znajomość rzemiosła ludzi i t. d. Powtóre publiczność ta nigdy nie nudzi się widokiem krwi i śmierci.

Terreadorowie (naprawdę w Hiszpanii nikt z uczestników walki nie nazywa się torreadorem), dzięki swej zręczności, rzadko wprawdzie giną. Ale jeśli się to zdarzy, widowisko uważane jest jako tem wspanialsze — i byk otrzymuje takież same oklaski jak „espada“. Że jednak i wypadki z ludźmi trafiają się czasem, dowodem tego jest, że na każdem przedstawieniu, prócz doktora, obecnym jest także ksiądz z sakramentami. Duchowny ów nie znajduje się oczywiście między widzami, ale czeka w osobnej izbie, do której, w razie wypadku, wnoszą rannych.

Czy zczasem, pod wpływem cywilizacyi, walka byków zostanie zaniechaną w Hiszpanii, trudno orzec. Zamiłowanie do tych walk leży bardzo głęboko w naturze hiszpańskiego ludu. Rade uczęszczają na nie i wyższe, inteligentne warstwy społeczne. Obrońcy tych igrzysk mówią, że ostatecznie nie są one czem innem, jak hazardowem polowaniem, odpowiedniem rycerskiemu charakterowi narodu. Lecz polowanie jest rozrywką, nie zawodem; w polowaniu nie masz widzów, jeno aktorzy; nie masz tłumów kobiet, w połowie omdlewających z rozkoszy na widok męki i śmierci. Na polowaniu wreszcie nie naraża nikt swego życia za pieniądze.

Gdyby mnie spytano, czy to jest piękne widowisko, odpowiedziałbym: tak. Piękna zwłaszcza jest jego oprawa: to słońce te cienie tysiąca wachlarzy, na widok których zdaje ci się, że rój motylów obsiadł cyrkowe rzędy; te oczy, te purpurowe wilgotne usta. Piękna jest ta nieprzebrana ilość tonów ciepłych a mocnych ta masa barw, złota, haftów, ten rozpalony piasek, od którego tchnie żar — wreszcie te dowody zuchwałej odwagi i ta groza która nad igrzyskiem się zwiesza. Wszystko to jest wiele piękniejsze od strug krwi i porozdzieranych końskich brzuchów.

Kto jednak znał te widowiska tylko z opisów a później zobaczy je własnemi oczyma, ten mimowoli pomyśli co to za dziwny lud, dla którego największą zabawą i rozkoszą jest widok rzeczy tak strasznej, bezwzględnej i niepowrotnej, jak śmierć. Zkąd to rozmiłowanie? Jest-li to prosty zabytek średniowiecznego okrucieństwa, czy też ów pociąg „jaki budzi się w wielu ludziach na widok np. przepaści. Przyjść jak najbliżej, na sam skraj, dotknąć tej zasłony, poza którą zaczyna się tajemnica i otchłań — jestto dziwna namiętność, która w pewnych duszach staje się nieprzepartą.

O Hiszpanach można powiedzieć, że w całym przebiegu swej historyi okazywali ów pociąg do bezwzględności. Mało który lud był tak okrutnym w boju, żaden religii miłości nie zmienil w tak posępny i krwawy kult — żaden wreszcie nie bawi się, igrając ze śmiercią.



Marzenia róży.

Raz gdy letnie szaty wdziewał
Piękny świat,
Cichym rankiem rozkwitł w pełni
Róży kwiat. —

Zefir słodko musnął listki
Skrzydłem fal
Z wonią róży rozmarzonej - -
Pomknął w dal.

Marzy... Nieboześle dla niej
Kryształ ros...
Ziemia, słońce — wiecznie błogi
Wróżą los...

Od motylków zbierze licznych
Hołdów rój, —
Lecz jednemu tylko szepnie:
„Miły mój!“ —

Wszystką słodycz listków swoich
Da mu spić...
I z wybranym — snem na jawie
Zacznie żyć!...

Gdyż nie pragnie nad to więcej
Róży kwiat...
Motyl, niebo, grządka własna —
To jej świat!...

. . . .

I choć wiele godzin minie,
Wiele dni,
Niech w zachwytach swych miłosnych
Róża śni; —

Niechaj nie wie, iż motylich
Uczuć moc
Chwiejną bywa, jako płomień
W wichrzną noc,

Że zły wicher złamać może
Kwiata pień,
Z wonnych listków — pozostawić
Zeschły cień!...

Elja.



KLUSZYN.

Wspomnienie historyczne z przeszłości.

I.

....W promieniach wiosennego słońca 1610 roku, zajaśniał orzeł biały nad krainą moskiewską, jak zwiastun błogiego pokoju nad krainą zgrozy i mordów. Z pod Smoleńska wyprawiono posłów do wichrzących z Moskwą bojarów, upominając ich do zgody, do przywrócenia pokoju w krainie znękanej tak długim krwi rozlewem. Ale Wasyl Szujski nadęty kilku pomyślnemi utarczkami, a szczególnie wojskiem, złożonem z Niemców, Szkotów, Szwedów, Anglików i Francuzów, a kupionem za pieniądze od owego Karola Sudermańskiego, co Zygmuntowi III-mu wydarł tron szwedzki, kazał odpowiedzieć, że żadnego poselstwa polskiego nie przyjmuje i wysłał kniazia Chanańskiego i kniazia Bariatyńskiego z wojskiem moskiewskiem, a brata swego Dymitra z owem wojskiem cudzoziemskiem do wzięcia Biały, zamku nad Mają, będącego w ręku Polaków.

Na wiadomość o pochodzie moskiewskiego wojska ku Biale, poruczył dowodzący wyprawą hetman Żółkiewski oblężenie Smoleńska Potockiemu, wojewodzie bracławskiemu, a sam ruszył pod Carowe Zamieście, gdzie obozem rozłożyło się dziesięć tysięcy Moskali, pod Hrehorem Wołujewem i kniaziem Jeleckim. Po krwawej utarczce zajął wielki szlak, do Możajska wiodący, którędy Wołujew posiłków oczekiwał, odciął Moskalom drogę do odwrotu i obsaczył ich do koła. Nocą tedy, lasami, wymknęli się posłańcy z obozu moskiewskiego do stojącego ztamtąd o dwanaście mil pod Możajskiem kniazia Dymitra, błagając go o śpieszny ratunek. Ruszył tedy kniaź Dymitr, by skruszyć garstkę zapamiętałych Polaków. Hetman polski zaś, skoro posłyszał o zbliżeniu się nieprzyjaciela, poruczył rotmistrzowi, Jakóbowi Bobowskiemu, trzymanie na wodzy obsaczonych pod Carowem Zamieściem Moskali, a pozostawiając na miejscu wszystkie straże, w obliczu nieprzyjaciela stojące, i zakazawszy trąbić i bębnić — by niczem nie zbudzić uwagi nieprzyjaciela, wyruszył nagle przed zachodem słońca.

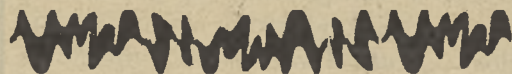
Jak chmura cicho płynąca, posuwa się wojsko polskie wśród głębokiego milczenia. Czy ucieka przed groźną potęgą Moskwy? Czy idzie szukać pomocy, gdzie jej znaleźć nie zdoła? Czy może wódz polski z przestrachu nie wie, co robi? nie wie, dokąd idzie? On niespodziankę robi nieprzyjacielowi i idzie na jego spotkanie. Bóg tylko wie, czy wyjdzie żywy z pomiędzy tłumów nieprzyjacielskich: ale przestrach i ucieczka, to nieznane mu rzeczy.

Przez całą noc szło wojsko polskie, brnąc w błotach i grząskich bagnach, aż z brzaskiem dnia stanęło pod Kluszynem, nad obozem głęboko uśpionego nieprzyjaciela, znajdując łatwe zwycięztwo w nagrodę mozolnego pochodu. Ale dlaczegoż staje opodal i szeregi swe porządkuje? Czy może na widok tego ogromu sił moskiewskich wódz polski uznaje, że tu broń złożyć trzeba? O! on broń swą tylko wraz z trupem swoim złoży przed nieprzyjacielem: ale on nie uderza na wroga uśpionego, on jak lew rzuca się nań dopiero, gdy mu stanie naprzeciw do walki gotowy.

W tem coraz baczniej przypatrują się Moskale, aż zdumieni widzą, że Polacy do boju się szykują — a z śmiechem i urąganiem rozsuwają się tłumy moskiewskie w szeregach nieprzejrzanych.

Na prawem skrzydle stanęło wojsko cudzoziemskie pod Jakóbem Pontusem i Krzysztofem Summem, w liczbie dziesięciu tysięcy. Lewe skrzydło zajęło wojsko moskiewskie, przeszło czterdzieści tysięcy liczące, pod kniaziami Dymitrem Szujskim, Andrzejem Galicynem i Daniłem Mezeckim. Przeciw tej sile, osłoniętej prócz tego długim płotem, rozdzielającym obydwa wojska stanął zastęp polski, ledwie dziesięć tysięcy ludzi liczący. Na prawem skrzydle szyku polskiego stanął pułk Zborowskiego, a przybocznym hufcem pułk Kazanowskiego i Dunikowskiego. Na lewem pułk Strusia, starosty chmielnickiego, a przybocznym hufcem pułk hetmana pod dowództwem Janusza Koreckiego i czterysta kozaków pod Piaskowskim. W siekanych hufcach zaś szły odwodowe roty pod okiem hetmana, a wszystkie pułki były konne, bo trochę piechoty i dwa działa dla trudnej jeszcze drogi nie przybyły.

(Dokończenie nastąpi.)







Wiadomości.

— **Klęska powodzi,** nawiedziwszy Górny Śląsk, Galicyę, Kongresówkę, nie oszczędziła w groźnym swym zalewie także Wielkopolski. Wystąpiła z koryta Warta, wystąpiły wszystkie jej poboczne rzeczki, zalewając na nizko położonych gruntach cały dobytek rólników, spoglądających z rozpaczą i z załamanemi rękami na zupełnie zniszczony piękny owoc swej mozolnej pracy.

W Poznaniu mamy także częściową powódź: zalana jest cała droga ku Dębinie, a łąki i pola po obu jej stronach przedstawiają obraz olbrzymiego jeziora, dalej

zalane są obie tamy berdychowskie. Dzięki częściowemu już ogrobleniu Warty w Poznaniu oraz poczynionym energicznym środkom ratunku, powódź w mieście samem nie poczyniła prawie żadnych większych szkód.

— **Dnia 16-go b. m** w obecności przedstawicieli prasy i członków otwarto o godzinie 1 w południe wystawę obrazów w nowym lokalu przy placu Królewskim nr. 10. Nowa siedziba Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych pod kierownictwem p. Krzyżanowskiego przedstawia się bardzo okazale. W trzech obszernych salonach przedewszystkiem rzucają się w oczy prace znakomitego malarza Witolda Pruszkowskiego, Wojciecha Kossaka, Jana Chełmińskiego, Michała Wywiórskiego, W. Rossowskiego (autora „Skazanej“, J. Moniuszki, Gardzielewskiego, „Nowiny“ Sieniawskiej, Majewskiego, Nowickiej, Krzyżanowskiego, Stryczyńskiego, Szmyta, Marcinkowskiego, Flauma i wielu innych.

Pożądanej w Poznaniu powszechnie instytucyi, która trwałe obecnie ma podstawy, serdecznie życzymy powodzenia.

Wystawa jest otwarta od godziny 10 przed południem do 6 po południu. Wejście w dnie powszednie 50 fen., w niedzielę i święta 25 fen.

— **Pan Jarogniew Drwęski,** referendaryusz przy sądzie nadziemiańskim w Poznaniu, złożył egzamin asesorski w Berlinie i osiedlił się teraz tutaj w Poznaniu jako adwokat.

Szczęść Boże!

— **Dla biednych Wielkopolan,** dotkniętych klęską powodzi, nadesłało Towarzystwo Przemysłowców Polskich w Dreźnie 5 M. Dalsze datki na ten cel jak najchętniej przyjmować będziemy.

— **Dla biednych Galicyan,** dotkniętych klęską powodzi, nadesłało Towarzystwo Przemysłowców Polskich w Dreźnie 5 M. Dalsze datki na ten cel jak najchętniej przyjmować będziemy.

— **Rozporządzenie pocztowe.** Naddyrekcya poczty wydała następujące rozporządzenie: druki, cyrkularze i próby towarowe, skoro nie odpowiadają przepisom i warunkom dla tychże przedmiotów ustanowionym, były dotąd uważane jako niedostatecznie opłacane listy. Odtąd takie przesyłki nie mogą być nadal wysyłane, lecz będą zwracane odsyłającym.

— **Doskonały lekarz** praktyczny, jako też dentysta (Polak katolik), znajdą dobrą praktykę. Bliższych informacyi udzieli eksp. „Dziennika Bydgoskiego“ w Bydgoszczy ulica Fryderykowska 46.

— **Żnin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu:

Pp. J. Jaźwińska z Szczepanowa 1 M., pewna osoba z parafii Żnińskiej 25 M., M. Chwalski z Augustowa p. Łabiszyn 3 M., Smyk z Gogułkowa 10 M., Zofia B. z Poznania 1 M. 50 fen., A. Burzyński z Inowrocławia 10 M., zebrane przez J. Wesołek z Jaroszewa na weselu u Łysego w Wielowsi p. Pakością 3 M. 75 fen., Banaszak z Ameryki 3 M. 75 fen., zebrane przez S. Styczyńskiego z Zbąszynia 12 M. 60 f. a mianowicie S. Skrobalski, Dr. Kryzan, W. Stachuła, K. Borek po 1 M., I. Ratajczak 2 M., A. Kowalski, Limpek, F. Bocian, A. Bombicki, A. Hoffmann, A. Pietruszewska,. A. Przybyła, F. Styczyńska po 50 fen., S. Styczyński 55 fen., W. Bzyl, A. Stachuła, J. Braun, Jarosz, Tuczyński, I. Welk po 30 fen., K. Wrzesiński 25 fen.

Staropolskie „Bóg zapłać!“ Wszystkie osoby, które złożyły ofiarę, otrzymały na pamiątkę piękny obrazek cudownej Matki Boskiej Żnińskiej.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli.

† Ś. p. *Weronika z Cilskich Dutkiewiczowa* dnia 12-go b. m., mając 59 lat, w Poznaniu.

† Ś. p. *Jadwiga Chełmicka* dnia 16-go b. m. Pogrzeb odbył się dnia 20-go b. m. w Mokronosie.

† Ś. p. *Józefa Nowastowska* w 19 roku życia dnia 16-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Domicela z Podczaskich Grochowska* dnia 15-go b. m. w Koźminie w 72gim roku życia.

† Ś. p. *Stanisław Młodecki* dnia 17 b. m. w Pobiedziskach, przeżywszy lat 58.

Od Redakcyi.

— *Panu A. W. w miejscu.* — „Jakie było powietrze w Sylwestra latosiego roku?“ Chcesz mieć Pan odpowiedź na to zapytanie, ale to chyba sprawa niemożliwa, bo Sylwestra w latosim roku czyli w roku bieżącym mieć będziemy dopiero 31-go grudnia. A choćby pytanie dotyczyło Sylwestra w roku zeszłym, tobyśmy na nie nie mogli odpowiedzieć dlatego, że notatek meteorologicznych nie posiadamy.

Panu J. M. w R. — W tej sprawie informacyi Panu udzielić nie możemy. Udaj się Pan po wyjaśnienie do odnośnego agenta okrętowego w Hamburgu.

Pani Maryi Ł. w W. — Wierszyk dosyć zręczny, ale jeszcze zbyt słaby, więc się nie nadaje do zamieszczenia w „Pracy.“ W każdym razie warto pracować dalej w tym kierunku.

Panu K. S. w D. — Zatrzymaliśmy w tece zapasowej, ale terminu zamieszczenia oznaczyć nie możemy.

Panu Romanowi J. w Berlinie. — Jeżeli urzędnik stanu cywilnego nie zapisał imion dziecka Pańskiego podług Pana życzenia, winieneś się Pan zażalić do naczelnego prezesa w Berlinie, a gdyby i ten nie uwzględnił wniosku Pańskiego, do ministra spraw wewnętrznych. (§ 154 prawa z dnia 1. 8. 1883 Zuständigkeitsgesetz).

— ***Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego zanie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Kwity na „Pracę“ i Czytelnię Polską“ na bieżący kwartał są zamieszczone na osobnej stronie pod okładką.

Szanownych Czytelników
w Galicyi
i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Dział kobiecy.



Artystki... kapeluszowe.

W magazynach modystek paryskich tłoczą się teraz formalnie właściciele wielkich magazynów kapeluszy. Jeden z kupców postawił to bardzo naturalne pytanie, zkąd modystki paryskie biorą ciągle nowe modele. Powiedziano mu, że pewne wielkie paryskie magazyny poangażowały do ubierania kapeluszy tylko prawdziwe artystki, występujące jako takie i jako takie traktowane. Twórczynie modelowych kapeluszy opłacane są na wagę złota. Zarabiają one nieraz więcej niż ministrowie. Nie zawsze są czynne w magazynach, jak im się podoba siedzą sobie bezczynnie w domu. Podróżują często, przepędzają tak letnie jak zimowe miesiące w eleganckich miejscach kąpielowych, a widzieć je można w Paryżu zawsze tam, gdzie się zgromadza wielki świat. Gdy je czasami w interesie opuści „duch twórczy“, podają im szampana, aby pobudzić ich fantazyę. Nerwowość i drażliwość wybaczane im są jak każdej artystce.

Na swoje dzieło patrzy się, jak malarz na swój obraz. Jeżeli cena kapelusza, którego piękność polega tylko na wstążce, związanej w szczególny sposób wydaje się za drogą, ponieważ zużyto do ubrania bardzo mało materyału, można być przygotowanym na zapytanie:

— Czy pani malarzowi płaci wydatki za farbę i płótno, czy też płaci pani za obraz, jako za dzieło sztuki?

Zajmującem jest także, iż taka artystka kapeluszowa otrzymuje wskazówki od klienteli. Większość pań, przeważnie aktorek, przychodzi z gotowym opisem kapelusza. Często także wygląd zewnętrzny, cera twarzy, uczesanie włosów dodaje paryskiej modystce fantazyi. Większa część modelowych kapeluszy paryskich idzie do Berlina, gdyż ztąd rozchodzą się one niemal po całym świecie. Obecnie jest w modzie kapelusz płaski, bogato przybrany strusiemi piórami. Zawdzięcza on swą egzystencyę obecnemu modnemu sposobowi czasania włosów.

Kobiety lekarze w starożytności.

Kobiety lekarze nie są wynalazkiem nowych czasów; dowodzi tego artykuł nowojorskiego „Med. Journal.“ W roku 300 przed Chr. pewna młoda Atenka, nazwiskiem Agnodice, przebrana za mężczyznę, uczęszczała do szkoły lekarskiej w Atenach, pomimo przepisu, wzbraniającego kobietom zajmowania się studyami lekarskiemi i pozyskała wkrótce rozległą praktykę. Skoro tajemnica jej była odkryta i lekarkę pociągnięto do odpowiedzialności sądowej za przekroczenie prawa, udało się jej współobywatelkom przeprowadzić burzliwą agitacyę, następstwem której było uwolnienie oskarżonej od odpowiedzialności i zniesienie zakazu prawa.

W wiekach średnich pewna liczba kobiet zdobyła tytuły doktorskie, głównie w maurytańskich uniwersytetach Hiszpanii. Trotula di Rugiero, praktykująca w XI wieku w Salamo, cieszyła się europejskim rozgłosem. W XIV wieku Dorota Locchi, nietylko, że posiadała tytuł doktorski, ale nadto była profesorem na wydziale lekarskim uniwersytetu kolońskiego, na którym następnie wykładały też dwie profesorki: Anna Mongolini, anatomii, i Maria della Douna, położnictwa (1799). Sądząc z edyków z roku 1311 i 1352, i we Francyi też kobiety chirurgowie nie były rzadkościami.



Pomniki dla kobiet.

Ze wszystkich kobiet najwięcej pomników postawiono Joannie d'Arc. Znane są jej pomniki w Domrémy, Orleannie nie Chinon, a zwłaszcza w Rouen; ten ostatni modelowany przez Fouchera, przedstawia bohaterkę na stosie. Posąg konny Joanny d'Arc, dłuta Frémiot'a na placu Piramid w Paryżu, przedstawia ją nie w kobiecym stroju, ale w pancerzu, siedzącą po męzku na koniu. Cesarzowa Marya Teresa posiada trzy posągi: jeden w Wiedniu, wykonany przez Zumbusza, drugi w Wiener Neustadt przez Gassera, trzeci w Celowcu, roboty Pönningera. Anglia uczciła swoje królowe pomnikami, tylko królowa Elżbieta dotąd nie stoi na publicznym placu, ale w półmroku katedry Westminsterskiej. Posąg królowej Anny stoi przed kościołem św. Pawła; posąg królowej Wiktoryi ustawiono jeszcze za jej życia przed giełdą. W Hiszpanii postawiono tylko jeden pomnik kobiecie, stojący przed hippodromem w Madrycie, posąg królowej Izabelli. Berlin posiada dwa pociągi kobiece: królowej Luizy i cesarzowej Fryderyki. W Baden-Baden i w Koblencyi są również posągi cesarzowej Augusty. Cesarzowej Elżbiecie postawiono posąg w Genewie, w miejscu jej śmierci, i w parku Gödöllöo. Projektowane są również pomniki w Wiedniu i Budapeszcie. Z kobiet nieukoronowanych dwie tylko otrzymały pomniki w Niemczech: poetka Anetta von Drost-Hülshoff w Münster i Barbara Uttmann w Annabergu, za wprowadzenie koronkarstwa klockowego. Zdaje się, że jest to dość kompletny spis pomników dla uczczenia kobiet wystawionych w całej Europie. Jest to bardzo mało w porównaniu z wielką liczbą kobiet, które zdobyły sobie sławę wybitnemi zdolnościami w literaturze i sztuce, jako też działalnością społeczną i poświęceniem. Gdy się jednak pomyśli, że te wszystkie prawie pomniki powstały w ostatnich trzydziestu latach, dochodzi się do przekonania, że nadchodzą czasy, że i kobiety będą czczone publicznie, według zasługi.



Dział rolniczo-ekonomiczny.

W sprawie Związków zawodowych.

otrzymaliśmy od ks. ks. Stychla i Mayera pismo obszerne. W piśmie tem, którego dla braku miejsca nie możemy zamieścić w całości, autorzy rozwodzą się o rzekomych niedomaganiach utworzonego w mieście naszem „Polskiego Związku zawodowego" i o wadliwości jego ustroju w przeciwstawieniu do „Związków zawodowych chrześcijańskich" i tak piszą dalej:

„Otóż, jeżeli kierownicy „Polskiego Związku zawodowego" rozumieją dobrze istotę i całokształt zadań właściwych organizacyi zawodowych dla pracobiorców, to *nie mogą twierdzić, że związek polski jest tym organizacyom współrzędnym i że je może zastąpić* u nas w przeprowadzeniu wszystkich ich zadań, — jeżeli zaś to twierdzą, to nie zgłębiają dokładnie tej istoty i tych zadań.

Nie mówimy tego wszystkiego w tym celu, żeby „zgnębić" (jak nam zarzucano) związek polski a „popierać" niemiecki, lecz aby wyjaśnić, dla jakich rzeczowych powodów zajęliśmy stanowisko przychylniejsze związkom chrześcijańskim, przyczem się kierowaliśmy i kierujemy wyłącznie i jedynie *szczerą troską o dobro i korzyści pracującego ludu polskiego.*

Przytoczyliśmy wszystkie argumenta nasze na zebraniu zwołanem przez kierowników związku polskiego, na które się chętnie stawiliśmy, aby się przyczynić do wyjaśnienia sprawy ogólnie jeszcze nieznanej. Argumenta jednak nasze nie znalazły posłuchu u zebranych, (których tylko mniejszą połowę stanowili pracobiorcy); owszem z kilku stron na przedmiotowe nasze wywody odpowiedziano namiętnemi wycieczkami, które mówcom w dobrej wierze działającym chętnie wybaczamy, jakkolwiek może ten i ów w sali, słysząc takie wycieczki, zaliczył nas po prostu do księży germanizatorów, którymi my równie gardzimy jak nimi gardzi lud polski. Nie łaknąć jednak taniego poklasku, który łatwo zdobyć idąc z prądem lub dając wiązankę zwrotów patryotycznych, woleliśmy mówić prawdę choć niepopularną, która z czasem jednak przeniknie do serca.

Zniewoleni jesteśmy oświadczyć dzisiaj w rezultacie wczorajszego zebrania, że Polskiego związku *jako właściwej organizacyi zawodowej* polecać nie będziemy mogli póty, póki tenże przez kierownictwo, organizacyę i działalność swoją nie wykaże, że pojmuje dobrze całokształt zadań organizacyi zawodowej i że nie ograniczając się tylko na dyskusyi i pracy wewnętrznej, lecz występując skutecznie także na zewnątrz, potrafi przeprowadzić właściwe zadanie ruchu zawodowego i tem samem zastąpić tak u swoich zwolenników niepopularne związki chrześciańskie a powstrzymać robotnika polskiego garnącego się do związków zawodowych socyalno-demokratycznych, od pochłonięcia ze szkodą wiary i narodowości. Gdy się to stanie, od razu zmienimy stanowisko nasze i całą siłą popierać będziemy polski związek zawodowy. Póki się to nie stanie, zniewoleni będziemy trzymać się rezolucyi powziętej na ostatnim zjeździe księży patronów.

Na koniec jeszcze słowo do wiadomości. Jakkolwiek „Polski związek zawodowy" ze względu na kierownictwo, współdziałanie osób rozmaitego stanu i cały swój ustrój nie może uchodzić za właściwą organizacyę zawodową w znaczeniu społecznem dla pracobiorców polskich *także u nas koniecznie potrzebną*, to przecież może być ten związek polski jako organizacya z podkładem narodowym w kierunku akcyi ekonomicznej, zarobkowej, przemysłowej pożytecznym, byle nie przeszkadzał ewolucyi społecznej naszego ludu w organizacyach społecznych, na zasadzie chrześciańskiej opartych. Prosimy tedy czcigodnych księży Konfratrów, aby, nie mogąc sumiennie zalecać polskiego związku jako organizacyi pod każdym względem wystarczającej i inne zastąpić mogącej, przynajmniej osobiście nie sprzeciwiali się w danym razie utworzeniu filii polskiego związku na miejscu, lecz raczej *pozostawili decyzyą pracobiorcom miejscowym, do których ona należy.* Możemy się jednak w zamian domagać od zwolenników związku polskiego uznania i uszanowania naszego stanowiska i poglądu na rozwój społeczny, w którym i nasz robotnik polski równym krokiem postępować winien, aby nie został w tyle jako kopciuszek społeczny. Dla niego nasza praca.

Mamy nadzieję, że z czasem dojdziemy do porozumienia i połączenia usiłowań naszych.

Poznan, dnia 11 lipca 1903.

Ks. Antoni Stychel. Ks. Wacław Mayer."



Notatki i doświadczenia.

Utrwalanie dachów gontowych. Dla utrwalenia dachu gontowego, nawet starego lub źle pokrytego, okazał się najlepszym następujący środek: W czasie suchej i stałej pogody pociąga się dach gorącą smołą gazową (z węgla kamiennego), poczynając naturalnie od góry, poczem bezzwłocznie posypuje się przez sito miałko utartą gliną, używaną do wyrobu cegły. Warstewka gliny powinna być o tyle grubą, aby nasyciła warstewkę smoły. Po zupełnem wyschnięciu tej powłoki zmiata się zbyteczną glinę, t. j. tę, która nie przywarła do smoły, i daje się drugą powłokę smoły, również gliną zasypaną. Trzeciej powłoki już się zwykle nie daje, chociaż byłaby ona pożądaną, bo czyni dach najzupełniej szczelnym, nieprzemakalnym i ogniotrwałym od zewnątrz. Wszystkie części wystające powinny być również smołą pociągnięte i gliną zasypane.

Jest to jeden z najlepszych i najtańszych sposobów utrwalania dachów, a o ile będzie starannie wykonany, nie wymaga później żadnych reparacyj. Smoła gazowa jest łatwo palna, przez posypanie jednak gliną traci tę własność, a nabiera wielkiej trwałości.

Nowe zasady karmienia nierogacizny paszą ścisłą. Młodym prosiętom należy dawać ziarno gniecione i na sucho, nie zaś mielone i rozmieszane w wodzie. Po sześciu tygodniach, gdy prosięta dostaną już po 2, 3 lub 4 zęby trzonowe, daje im się żyto lub groch nie rozdrobniony. Prosięta, które żywiono przez dłuższy czas paszą mieloną i moczoną, nie powinny dostawać odrazu twardego ziarna, gdyż nie umiałyby go pogryźć. Przy skarmianiu pasz ścisłych pod postacią mąki należy dodać do nich cokolwiek wody. Parzenie, gotowanie, zaparzanie i t. p. mają rację bytu tylko wtedy, gdy chodzi o zużytkowanie paszy niezdrowej, spleśniałej; w innych razach takie przygotowanie jest zgoła zbyteczne, jako szkodzące dobremu smakowi i strawności pożywienia. Wodę powinno się dawać nierogaciźnie na pół godziny przed zadaniem paszy twardej i nie w nadmiernej ilości.



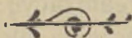
Dodatek Humorystyczny.

Baby i dziady.

(Sprzeczka małżeńska.)

Pan Onufry, człek już stary
Włożył na nos okulary
I wygodnie siadł w fotelu,
Wziął gazetę, w miłym celu,
Że się przy niej drzemkę utnie...
Lecz rozgniewał się okrutnie,
Wykrzykując: „Oto za to
Kwita już z prenumeratą!
Pięć bab w jednym tym numerze,
Niech ich wszystkich licho bierze!
Człowiek płaci za pisanie,
A tam bazgrzą same panie...
U niewiasty rozum krótki,
Dla niej z włóczek są robótki,
Kądziel, płótno, to jej praca,
Dziś w tych głowach się przewraca,
Piszą, rzeźbią i malują,
Baba lekarstwa ordynują.
I myżczyznom wchodzą w drogę,
Baby w cechach, baby w biurze,
Baby i w literaturze!“
Zacna pani Onufrowa,
Posłyszawszy takie słowa,
Zawsze płeć swą bronić rada
Oburzyła się na dziada:
— Cóż to — mówi — za gadanie?
Co ci winne owe panie,
Że ze złości zębem zgrzytasz?
Piszą lepiej, niż ty czytasz.
— Biłbym wszystkie! — Ale za co?
— Bo gniewają mnie swą pracą!
— Czy to głowa w długich zwojach
Zawsze myśleć ma o strojach?
Czy jej życia cel stanowi
Przypodobać się dziadowi?
Ha! miało to ongi modę,
Gdy się brano na urodę,
Teraz wskutek ludzkiej nędzy
Każdy tylko chce pieniędzy —
Przy tych danych ma się chrapkę
Nawet i na starą babkę,
Gdy protekcyą darzyć może,
Niczem przy niej dziewczę hoże —
Dla dziewczyny miłość w sercu,
Babie kłamie przy kobiercu!
— No, no, próżne to gadanie,
Bo tak samo robią panie...
— Za przykładem waszym przecie
Muszą także żyć na świecie,
Taka co próżnować rada,
To się wyda i za dziada.
— Daj mi spokój, droga żono,
Baba z głową ostrzyżoną
Dla każdego śmieszna wielce...
— Jeśli chodzi w kamizelce,
Albo jeździ na rowerze,
To mnie samą śmiech już bierze,
Nie lubiąc emancypacyi.
Lecz my także ceniąc zuchów,
Niecierpiemy niewieściuchów.
A czy mało masz przykładów,
Całkiem niedołężnych dziadów,
Co bez kobiecej opieki
Zaginęliby na wieki?
Taki z wielkiego frasunku,
Żeni się dla opierunku,
Choć dostanie szpetne licho,
Pod pantoflem siedzi cicho,
A co pisać wtedy raczy,
Niech mu Pan Bóg już przebaczy!
Pan Onufry spojrzał srogo:
— Idź-że sobie raz niebogo,
Dość mam tego traktowania,
Zabieram się do czytania.
To mówiąc gazetę złapał,
Rozłożył ją i.... zachrapał!

Sens moralny z tego słaby:
Wszystko jedno, dziady, baby,
Piszcie sobie, jako chcecie,
Szlachcic uśnie przy gazecie.



Ten ma sposób.

— Mateuszu, coście się tak skrzywili, jak środa na piątek?

— A bez to, że mi baba w chałupie ciągle gderze

— Ja tam mam sposób na baby.

— A jaki?.. Radźta kumie.

— Powiedźcie jej, że okrutnie ładna, jak ma gębę zamkniętą, to choćby jej było potrzeba co powiedzieć, nie otworzy gęby, jeno będzie bąkała półgębkiem.



Wymagający turysta.

Iks, ulegając długoletnim namowom znajomych zdecydował się wreszcie na wyjazd do Zakopanego. Nudzi się jednak straszliwie: tęskni za swym ukochanym Poznaniem.

— Panie Iks — rzecze ktoś — patrz pan, co za krajobraz! O jak Zakopane jest piękne!

— Hm — odrzecze kwaśno Iks — piękne? Być może. Ale usuń pan z tego pięknego Zakopanego góry, to co zostanie? Nic...



Zdrowa rada.

Bankier. Jak pan śmiesz oświadczać się z miłością dla mojej córki, nie mając żadnego stanowiska?

Artysta. Sympatya pańskiej córki ośmiela mnie do tego... Mam widoki....

Bankier. Co?.. widoki? To panu potrzebna lornetka, a nie żona!



Wybredna.

Wprowadzono młodą pannę
Na publiczny bal...
Panna miała męża wybrać
Z pośród męzkich lal...

Gdy wskazano jej doktora,
Wnet parsknęła w głos;
Nie podobał się eskulap,
Miał za długi nos!

Poszła panna na bal drugi,
Szuka męża wciąż;
Mówi mama: — Ten inżynier
W sam raz dla cię mąż!

Pannę jednak z oburzenia
Oblał krwawy pąs,
Bo inżynier miał — jej zdaniem —
Nieco brzydki wąs!....

Biorą pannę na bal trzeci,
I szukają znów:
Żali męża tam nie znajdą
Jej z wyśnionych snów?...

Zdarza wreszcie się literat,
Lecz panienka w śmiech!
Bo ten rycerz brzydki dla niej
Jak śmiertelny grzech!

Wiodą pannę na bal czwarty,
I — szczęśliwy los! —
Wnet nawija się fabrykant,
Co ma pełen trzos!

Ale panna noskiem kręci,
Nie chce tego, nie!
Bo być żoną fabrykanta,
To brzmi jakoś... źle..

I tak wiodą pannę z balu
Na bal — latek pięć,
Panna za mąż wyjść nareszcie
Ma gwałtowną chęć!

Lecz się jakoś nikt nie zjawia,
Pierzcha ten i ów...
Panna pełna jest rozpaczy
I dręczących snów....

. . . .

Po cóż było tak przebierać?...
Ot — nagrodę masz!...
Dziś by zdał się, moja panno,
Stolarz albo szklarz!..



Dział powieściowy.

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

/2) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Pedro wziął je, obejrzał i wsunął do kieszeni.

— Te brylanty są prawdziwe i bardzo piękne, — rzekł z okrutnym śmiechem, — dlatego wolę je zatrzymać sam dla siebie. Nie lubię się dzielić!

I zanim robotnik zdołał odpowiedzieć, pchnął go Pedro tak silnie, że nieszczęśliwy — bez wydania jęku — spadł na dół, zupełnie rozmiażdżony....

Pedro uciekł.

Mundur oficera zapewniał mu wszelkie niebezpieczeństwo, i tak udało mu się wszystko znakomicie. Ale kamienie zdradziły go.

Bo nietylko, że je ukraść, ale nadto sprzedać trzeba, inaczej posiadanie ich nie ma celu.

Pedro udał się do osławionego żyda w Rio de Janeiro i sprzedał obydwa kamienie za trzykroć sto tysięcy franków. Nieszczęście jednak chciało, że kupiec ten miał ucznia, który był obecnym sprzedaży, a który, mszcząc się na swoim pryncypale za jakąś obelgę, zdradził go.

Żyd został natychmiast aresztowany i Pedro tak samo.

Żydowi wytoczono tylko proces o kupowanie skradzionych rzeczy, Pedra skazano na śmierć za kradzież, a przedewszystkiem za podwójne morderstwo, dokonane na żołnierzu i na robotniku.

Zdawało się, że nie ma dla niego ratunku, ale złoczyńcy dziwne czasem mają szczęście!

Poznał on, gdy siedział w więzieniu, pewną młodą bardzo piękną Francuzkę, nazwaną „Czerwona lady‟. — Właściwem jej nazwiskiem było Sulivan — Nadina Sulivan. — Losy zapędziły ją do Brazylii i tu służyła ona jako sekretarka u Ramira del Olivarez, bardzo majętnego i wpływowego człowieka, zajmującego się przeważnie polityką.

Owa Czerwona lady była obecną na posiedzeniu, na którem skazano Pedra na śmierć. Może jej żal było młodego człowieka, może chciała go pozyskać dla swoich planów, dosyć, że przekupiwszy straże więzienia, posłała mu krople usypiające, i nadające człowiekowi pozór trupa.

Pedro wypił je dzień przed straceniem i usnął; dozórca więzienia uznał go za umarłego i kazał przenieść do trupiarni, zkąd ucieczka była już tylko drobnostką.

Teraz zniknął Pedro na dwa lata.

Gdy Ramiro del Olivarez przeniósł się do innego miasta, wezwała Nadina Pedra, którego miejsce pobytu dobrze znała, do siebie, i wystarała mu się o miejsce pierwszego sekretarza u swego pana.

Wkrótce został Olivarez mianowany posłem w Wiedniu, i oznajmił obojgu, że zabierze ich z sobą. Reszta służby miała zostać w domu dla zbyt dalekiej i kosztownej podróży.

W Londynie jednak, gdy ambasador wyszedł na przechadzkę, rzucił się Pedro na niego, rozbił mu głowę, i wtrącił do rzeki, a zabrawszy wszelkie papiery, dokumenta i pieniądze, pojechał do Wiednia i wystąpił tu w roli ambasadora.

W Wiedniu nie było nikogo, ktoby mu był mógł tego zaprzeczyć i tak uważano go ogólnie za Olivareza i przyjmowano u dworu oraz w najwyższych kołach towarzyskich.

Na dworze cesarskim poznał on damę dworską cesarzowej, cudownie piękną hrabiankę Felicją Szalenburg.

Potrafił zdobyć jej rękę i jeździł z nią przez kilka lat po Europie.

Jedno tylko muszę dodać na jego uniewinnienie: kochał on żonę nad wszystko w świecie!

Ty Feliksie, jesteś synem Pedra de Branco i Felicji Szalenburg.

— Wiedziałem o tem! — jęknął Feliks. — Ale matka moja umarła — to wiem — gdzież jednak jest mój ojciec?

— Stoi przed tobą!

ROZDZIAŁ CXXXI.

Uwodziciel.

— Boże! — krzyknął Feliks cofając się przerażony, jak gdyby ujrzał widmo.

—Czekaj, mój synie, — zawołał Pedro, — nie wymawiaj słowa, któreby nas na wieki rozłączyć mogło. Ty jesteś moim synem, kochałem szalenie twoją matkę, kocham też i ciebie — inaczej nie byłbym ci nigdy opowiedział historyi mego życia. Ale ja chcę być szczerym wobec ciebie!

Jestem obecnie zupełnie w twoich rękach! Drzwi otwarte — w stajni są konie — jedź do Petersburga i oddaj mnie prokuratorowi — on ci podziękuje za wydanie zbrodniarza, którego w całej Europie szukają! Ja bronić się nie będę — przysięgam na pamięć matki twej, że z pokoju tego nie wyjdę — pozwolę się aresztować i szemrać nie myślę.

Feliks milczał.

— Więc cóż, pójdziesz? — zapytał Pedro po chwili.

— Nigdy! Przenigdy!

— A czy myślisz, że ludzie wybaczą ci i zapomną, że jesteś synem Pedra de Branca?

— Nie, nie, wiem o tem!

— Więc musisz sam uznać, że należysz do mnie! Jestem wyrzutkiem społeczeństwa — ty także! Nie czekaj, aż ci wszędzie drzwi pokażą — uprzedź ludzi i usuń się sam zawczasu! Będę twoim najwierniejszym przyjacielem, Feliksie — pójdź do mnie!

Mówiąc to, wyciągnął Pedro ręce, ale Feliks nie ruszył się z miejsca.

— Powierzę ci ważną tajemnicę, — mówił Pedro dalej, — i dam ci nowy dowód mego nieograniczonego zaufania do ciebie. Jestem członkiem stowarzyszenia, którego zadaniem jest: spychanie wielkich i możnych z ich wysokości, i zmiana dotychczasowego porządku na świecie. Słyszałeś już może o anarchistach rozgałęzionych po całym świecie?

Feliks zadrżał.

Więc jego ojciec był nietylko mordercą, zbrodniarzem i złodziejem, ale nadto będąc w wieku, w którym niejeden złoczyńca myśli o poprawie, stał się jeszcze członkiem tego haniebnego związku!

I teraz przyszło mu na myśl, że Bóg sam sprowadził go tutaj, aby poznał tego ojca swego i aby chociaż w ma-

jej części wynagrodził to złe, jakie ojciec ludziom wyrządził!

— Może zdołam namówić ojca — mówił sobie w duszy — może uchronię ludzkość od tej nieszczęsnej plagi, jaką są anarchiści, i gdy dokonam dzieła — stanę się godnym Elżbiety!

Pedro uważnie patrzał na syna, jak gdyby się starał odgadnąć myśli jego.

— Feliksie! — zawołał — zostań anarchistą! Towarzystwo, do jakiego jesteś przyzwyczajonym, jest odtąd dla ciebie zamknięte, ludzie będą pogardzać tobą! Jedno słowo, a dziś w nocy jeszcze — teraz — natychmiast, zaznajomię cię z wszystkimi członkami naszego związku!

— Dobrze! — odrzekł Feliks — zgadzam się na to bardzo chętnie!

— Więc pójdź ze mną! Będziemy dziś właśnie radzić nad pewną bardzo ważną sprawą! Zejdziemy się wszyscy tu, w sklepie — Gregorowicz należy także do związku! Sklepy są tak urządzone, że w razie przybycia niespodziewanego policji, możemy się wszyscy bezpiecznie ukryć!

Pedro i Feliks udali się teraz na dół, na salę, gdzie Gregorowicz na nich czekał.

— Czy wszyscy bracia Czerwonej ręki już są? — zapytał.

— Ach, jak pan może wymówić to słowo w obecności kogoś obcego? — krzyknął żyd przerażony, wskazując na Feliksa.

— To mój syn — odrzekł Pedro. — A on stanie się teraz naszym towarzyszem!

— Bracia są już wszyscy na miejscu — rzekł żyd zdumiony.

— Daj nam maski!

Gregorowicz otworzył szafę i wyjął z niej dwie czerwone maski i takie same płaszcze.

— Weź to — rzekł Pedro, podając synowi płaszcz i maskę. — A teraz idźmy!

Żyd nacisnął sprężynę i półki, na których stały butelki i kieliszki, rozsunęły się zwolna, odsłaniając wązkie, ciemne schody.

Pedro szedł pierwszy — za nim Feliks.

Schody wiodły na dół i zdawały się być nieskończone. Ale nareszcie zatrzymał się Pedro — przed nimi zaś stanęło dwóch zamaskowanych mężczyzn z sztyletami w rękach.

— Dokąd idziecie? — zapytali

— Do Morza krwi!

— Jak głębokiem jest to morze?

— Tak, jak głęboką jest niedola ludzi i niesprawiedliwość potężnych!

— Czego szukacie na dnie morza?

— Koronowanych głów!

Mężczyźni cofnęli się i po chwili stanął Pedro z Feliksem przed dużemi, żelaznemi drzwiami.

ROZDZIAŁ CXXXIII.

Potęga ciemności.

Pedro zapukał dwa razy i drzwi otworzyły się.

W sklepie, oświeconym kilkoma pochodniami, znajdowało się siedemnastu zamaskowanych mężczyzn.

Siedzieli oni w około stołu, na którym leżały wszystkie godła anarchizmu: trupia głowa, puginał, rewolwer i butelka z trucizną.

Wejście Feliksa nie wywołało żadnego zdumienia, zdarzało się bowiem często, że jeden z członków przyprowadzał nowego towarzysza.

Gdy Pedro i Feliks zajęli miejsca, podniósł się jeden z zamaskowanych i zaczął mówić.

— Czerwona Ręka, — rzekł, — zadługo daje na siebie czekać! Świat sądzi, że ona przestała już istnieć — najwyższy czas, aby ludzie poznali znowu jej potęgę!

— Tak jest! — zawołali wszyscy jednogłośnie.

— Napiszmy imiona wszystkich głów koronowanych na karteczki, — ciągnął mówca dalej, — i wrzućmy je w urnę — w drugą nazwiska nasze! Najstarszy z nas wyciągnie kartkę z nazwiskiem brata — ten zaś kartkę z nazwiskiem tego, który ma się stać jego ofiarą! Zgoda?

— Zgoda!

Teraz zabrano się do pisania nazwisk członków stowarzyszenia i wrzucono kartki do przygotowanej urny.

Jeden z spiskowców podniósł się.

— Jestem najstarszym — rzekł — i ja wyciągnę imię tego, który powołanym będzie do spełnienia wielkiego dzieła. Bracia, zdejmuję maskę!

Po tych słowach odsłonił twarz, a obecni z najwyższym szacunkiem pochylili głowy.

— Wielki Malatesta! — szepnął Pedro Feliksowi, — najpotężniejszy anarchista!

Malatesta wsunął rękę w urnę i wyjął zwiniętą karteczkę.

Głęboka cisza zapanowała w sklepie. Być może, że niejeden drżał ze strachu, aby nie usłyszał teraz swego nazwiska!

Malatesta rozwinął kartkę i rzekł uroczyście:

— Luigi Luccheni!

Luigi zdarł maskę z twarzy, przyskoczył do stołu, i schwyciwszy sztylet zawołał z dziko błyszczącemi oczami:

— Hej, niech żyje Malatesta! Cześć mu, cześć, za to, że wybrał mnie! Ja mu wstydu nie zrobię!

— Wybierz sobie teraz tego, który ma się stać twoją ofiarą, — rzekł Malatesta.

Z zwierzęcą prawie chciwością rzucił się Luigi ku urnie i wyciągnął kartkę.

Ale gdy ją rozwinął i przeczytał, znikł jego zapał.

— Kto umrze? — zapytał Malatesta.

— Eh, głupstwo, — odrzekł Luigi. — *Elżbieta, cesarzowa austryacka!* kobieta!

— Nie szkodzi! Zawsze to koronowana głowa! Podług statutów naszego towarzystwa musisz wykonać to w przeciągu czterech tygodni. Dodam ci dwóch asystentów, którzy ci pomogą, a w razie uwięzienia, oswobodzą, wylosujemy zaraz nazwisko jednego z nich, który drugiego sam sobie wyszuka!

I wyciągnął znowu kartkę z urny.

— Pedro de Branco! — przeczytał.

Pedro zbladł.

— Przyjmuję wybór, — rzekł spokojnie, — i na pomocnika wybieram tego, którego tu dziś przyprowadziłem. Jest to mój — syn!

— Ale czy on nas nie zdradzi? — zapytał Malatesta podejrzliwie.

— Nie, ja ręczę za niego! — odpowiedział Pedro.

Co się działo w sercu Feliksa, tego nikt nie pojmie!

Bądź co bądź postanowił on ocalić życie cesarzowej, i widział się już w myśli obrońcą tej najszlachetniejszej kobiety! Ona mu pewnie wybaczy grzech jego urodzenia — ona da mu inne, uczciwe nazwisko i pozwoli mu zapomnieć, kim był jego ojciec.

Teraz podniósł się Pedro.

— Mam wam jeszcze dwie rzeczy do powiedzenia, — rzekł. — Na ostatniem naszem zebraniu w Londynie postanowiono, że lady Sulivan, zwana Czerwoną lady, ma być ukarana śmiercią za to, że usunęła się od anarchistów i odmówiła pomocy jednemu z naszych braci. Los padł na markiza Laroche — ten miał ją zabić! Markiz wykonał rozkaz — wszedł do jej pokoju w nocy i udusił ją własnemi rękami.

— Bardzo dobrze, — odezwało się kilka głosów.

— Niestety schwytano go przytem i skazano na śmierć. Wyrok został przed tygodniem spełniony! Drugą wiadomością jest to, że szewcowa Amelja Hilbert z Hernals w Wiedniu, przebywająca ostatnie lata w Paryżu została także zamordowaną z rozkazu braci w Neapolu. Znała ona nasze tajemnice, a że często bywała pijaną, przeto mogła nas łatwo zdradzić. Szewcową Hilbertową utopiono w Sekwanie!

Na tem zakończył Pedro.

— Gdzie się odbędzie następne zebranie? — zapytał jeden z spiskowców.

— W Wiedniu, — odrzekł Malatesta.

Anarchiści zgodzili się na to i rozeszli się.

Pedro i Feliks pojechali do Petersburga, ztamtąd zaś do Wiednia, gdzie się spotkać mieli z Luigim Luccheni'm.

ROZDZIAŁ CXXXIV.

W Genewie.

Słońce jasno świeciło nad jeziorem genewskiem i przeglądało się w kryształowych jego falach.

Niedaleko portu płynęła mała łódka, a w niej trzech siedziało mężczyzn.

Byli to Pedro, Feliks i Luigi Luccheni.

Feliks byłby już dawno mógł zdradzić plany anar-

chistów i ocalić tym sposobem życie cesarzowej, ale nie uczynił tego dla dwóch powodów.

Najpierw pilnował go ojciec tak uważnie, że nie miał jednej chwili swobodnej — nie mógł się ani na krok ruszyć z domu bez towarzystwa ojca lub Luccheniego. Widocznie nie dowierzali mu jeszcze.

Powtóre marzył on o tem, że ocali sam, bez niczyjej pomocy, cesarzową, i że w nagrodę za to, wolno mu będzie zaliczać się do ludzi uczciwych i zmazać hańbę swego nazwiska!

I zaślepiony młodzieniec milczał!

Od czterech dni znajdowali się już spiskowcy w Genewie. Luigi przygotował sobie sztylet i nie spuszczał z oka cesarzowej. Albo on albo Pedro i Feliks śledzili ją nieustannie.

Cesarzowa mieszkała w hotelu Beaurivage, zkąd przepyszny roztaczał się widok na jezioro i góry.

— Zdaje mi się, — mówił Luigi, podnosząc wiosło, — że ja tutaj planu mego nie wykonam! Cesarzowa zawsze licznym otoczona orszakiem — nie podobno zbliżyć się do niej!

— Jeżeli nie tu, to w Cau, — odrzekł Pedro.

— Wolałbym jednak tu, i to jaknajprędzej! Drżę z niecierpliwości, jestem jak w gorączce! Idźmy teraz patrzeć znowu, dokąd cesarzowa pójdzie, ty zaś, — dodał, zwracając się do Feliksa, zbliż się z łódką aż do schodów, abym w danym razie mógł uciekać!

— Czy dziś zamordujesz cesarzową? — zapytał Feliks drżącym głosem.

— Dziś? Nie, pod żadnym warunkiem, bo wątpię, czy ona dziś jeszcze wyjdzie!

— A czemu każesz mi czekać z łódką przy schodach?

— Tak, istotnie, to nie ma celu, — odrzekł z dziwnym uśmiechem Luigi. — Ale bądź co bądź, czekaj z łódką! Może być, że policyant jaki będzie miał ochotę zapytania mnie o zamiary — nie można wiedzieć!

Feliks uwierzył mu i gdy Luigi i Pedro wysiedli, popłynął sam do schodów.

Gdy Luigi oddalił się nieco od brzegu, wyjął sztylet z kieszeni i wsunął go w rękaw.

— Co to znaczy? — szepnął Pedro.

— Za godzinę przestanie żyć cesarzowa Elżbieta!

— Czemu powiedziałeś memu synowi, że dziś tego nie uczynisz?

— Bo jestem ostrożniejszym, niż ty! Ja mu nie dowierzam!

— Mój syn nie jest zdrajcą!

— Może! Ale ja nie lubię mieć za wiele wspólników, — odrzekł Luigi, wzruszając ramionami.

Tak rozmawiając zbliżyli się obydwaj do hotelu de la Paix i stanęli tak, że mogli dokładnie przejrzeć całe quai du Montblanc.

Nagle zadrżał Luigi.

Pedro podniósł głowę i ujrzał dwie wytwornie ubrane panie, idące drogą, do portu.

Na zegarze hotelowym uderzyło wpół do drugiej.

Jedna z tych pań była cesarzową Elżbietą, druga hrabiną Sztaray. Cesarzowa rozmawiała żywo z swoją towarzyszką i raz nawet rozśmiała się głośno.

Luigi szybko przebiegł ulicę i stanął przy miejscu wylądowania parowców — tu czekał na swoją ofiarę!

Pedro szedł w niewielkiem oddaleniu za nim. Wiedział on, że nadeszła ostatnia scena krwawego dramatu — dziko błyszczące oczy Włocha i zaciśnięte jego usta zdradzały aż nadto chęć popełnienia morderstwa.

— Miałam wczoraj list od Józefiny Kronau, — mówiła cesarzowa. — Donosi mi ona, że córka jej i syn Felicyi Szalenburg pokochali się pierwszą, głęboką miłością, ale że ani generał, ani ona nie chcą pozwolić, aby syn mordercy żenił się z ich Elżunią.

Odpisałam jej zaraz, że żaden syn nie może odpowiadać za grzechy ojca, i że szczęście dziecka ważniejszem jest, niż wszystkie względy światowe. Ach, trochę szczęścia każdy......

W tejże samej chwili zachwiała się cesarzowa i upadła.

Jak kot rzucił się Luigi do niej, wyciągnął nóż z rękawa i zatopił go w sercu najszlachetniejszej kobiety!

Z przeraźliwym okrzykiem podchwyciła hrabina Sztaray cesarzową.

Równocześnie przybiegło kilku dorożkarzy na pomoc, nie wiedząc, że ranioną jest cesarzowa austryacka! Ale jeden z nich poznał ją i jak szalony puścił się w pogoń za mordercą.

Luigi pędził jak strzała. Wiedział on, że tu chodzi o życie lub śmierć!

Zdążał on do portu, tam, gdzie Feliks miał na niego czekać z łódką. Skoro wskoczy do łódki, będzie ocalonym! Właśnie bowiem nadchodziła burza i niebo ciemnemi było pokryte chmurami. Jak łatwo więc ukryć się w ciemności!

Ale i dorożkarze nie żałowali nóg.

— Trzymajcie go! trzymajcie! — krzyczeli.

Luigi dobiegł brzegu — jeszcze jeden skok w łódkę... Ale łódki nie było.

— Przeklęty zdrajca! — szepnął Luigi.

W tejże chwili dopadli go dorożkarze. Jeden z nich uderzył go batem tak silnie w twarz, że krew trysnęła, dwóch innych zaczęło go bić pięściami po głowie i plecach...

W jednej minucie wyciągnęły się setki pięści ku niemu.

— Ten człowiek zamordował cesarzową austryacką!

— Zabić go!

— Utopić!

Takie krzyki dały się słyszeć w tłumie.

I bili go kijami, batami, parasolami, nawet policya nie zdołała go wydrzeć z rąk rozszalałego tłumu. Cesarzowa tymczasem podniosła się i szła kilka kroków dalej, ale zaledwie znalazła się na pokładzie parowca, upadła po raz drugi w objęcia hrabiny Sztaray.

Przeniesiono ją natychmiast na drugą stronę i ułożono na kanapie.

Po chwili otworzyła oczy.

— Co się ze mną stało? — zapytała.

I znowu zemdlała.

Trzeźwiono ją solami, octem, koniakiem, a hrabina Sztaray, na wpół przytomna z przerażenia zauważyła, że cesarzowa odzyskuje przytomność.

— Najjaśniejsza pani — rzekła — wróćmy do hotelu!

— Nie, nie! Jedźmy dalej! Złodziej jakiś chciał mię okradnąć!

Parowiec wyjechał z portu.

Cesarzowa leżała już znowu nieprzytomna i gdy otworzono suknią, zauważono maleńką ranę blizko serca.

Kapitan wrócił do Genewy i cesarzową przeniesiono do hotelu Beaurivage.

Przyszli lekarze — próbowali wszelkich możliwych środków, ale daremnie.

O trzy kwadranse na trzecią cesarzowa umarła.

ROZDZIAŁ CXXXV.

Śmierć łagodzi wszystko.

Pedro był świadkiem całej sceny ujęcia mordercy. Ale gdy widział, że wszystko stracone, poszedł dalej i dziwna rzecz! Ten człowiek, dla którego zabicie człowieka drobnostką było, drżał teraz ze strachu na widok Luiga, upadającego pod pięściami rozgoryczonego ludu.

Było to okropne.

— Jeżeli ujdę tym razem niebezpieczeństwa — mówił sobie w duszy, — to stanę się uczciwym człowiekiem chociażby już dla miłości mego syna!

Ale przedewszystkiem — gdzie jest Feliks?

Zapominając o wszelkiej ostrożności, puścił się Pedro jak szalony w stronę portu, nieco dalej od miejsca, na którem schwycono mordercę.

Młodzieniec, znudzony długiem czekaniem, popłynął o kilkadziesiąt metrów dalej, zamierzając zaraz znowu wrócić na dawne miejsce — teraz jednak, widząc zbiegowisko nad brzegiem, wracał wolno, chcąc się przekonać, co tam zaszło.

— Zapewne schwycili na gorącym uczynku jakiegoś złodzieja kieszonkowego — rzekł jeden z majtków na przejeżdżającej łodzi.

Feliks zupełnie był spokojny.

Nagle ujrzał biegnącego ku sobie ojca.

W następnej chwili znajdował się Pedro w łodzi.

— Uciekajmy — szepnął — prędko.

Feliks zbladł śmiertelnie.

— Ojcze! co się tam stało?

— Później! później! Uciekajmy! Czemu nie bierzesz wioseł?

Milcząc, ujął Feliks wiosło i łódka pomknęła jak strzała ku środkowi jeziora.

Feliks drżał jak we febrze. Na niebie czarne gromadziły się chmury.

— Gdzie Luigi? Dlaczego uciekamy? — pytał młodzieniec, przeczuwając okropną prawdę.

— Luigi zamordował cesarzową!

— Zamordował! A ja chciałem ją ratować! — krzyknął Feliks z rozpaczą. — To ja jestem jej mordercą!

I gorżkie łzy spłynęły po jego twarzy.

— Więc chciałeś nas zdradzić? - rzekł Pedro.

— Tak! Chciałem was zdradzić, aby ocalić życie tej najlepszej kobiety i pozyskać za jej pomocą rękę tej, którą kocham nad wszystko w świecie, baronównej Kronau! Teraz wszystko stracone!

I z głośnym płaczem rzucił się Feliks w objęcia ojca.

Krwawe błyskawice rozjaśniły na chwilę chmury — w dali dał się słyszeć grzmot.

Woda była ciemna i ogromne bałwany podnosiły łódkę, jak łupinę od orzecha.

— Ach, jak ta woda nęci, — szepnął Feliks, jak w obłąkaniu. — Umrzyjmy ojcze, na ziemi nie ma dla nas miejsca! Umrzyjmy razem!

Pedro przycisnął syna do serca i ucałował gorąco jego czoło.

I w jego oczach błysnęły łzy, może po raz pierwszy w życiu!

— Ale tyś młody, — szeptał, — szkoda twego życia! Ja stary — ale ty! A pomimo to — nie śmiem nawet marzyć o takiem szczęściu! Umrzeć z tobą! Ach, jak słodką byłaby mi śmierć!

— Więc dalej ojcze, spieszmy się! Ja żyć nie chcę!

— Dobrze! Felicyo, idę do ciebie! — zawołał Pedro, biorąc syna w objęcia.

— Elżbieto! Umieram! Nie zapomnij o mnie! — szepnął Feliks.

Potem, złączeni silnym uściskiem, rzucili się obydwaj w spienione fale jeziora — i zniknęli ... na zawsze.

Łódź popłynęła dalej.

* *
*

Nazajutrz przybyła Elżbieta Kronau z Caux do Genewy po ciało swej ukochanej cesarzowej.

Po długiej i gorącej modlitwie w pokoju zmarłej, wyszła nad jezioro, aby się nieco orzeźwić — i pogrążona w myślach szła coraz to dalej, zapominając zupełnie o czasie.

Nagle jednak stanęła jak wryta, a z piersi jej dobył się straszny krzyk rozpaczy.

Tuż przed nią, wyrzucony przez wodę na piasek, leżał trup.

Był to Feliks!

Z płaczem upadła przy nim na kolana, i domyśliła się natychmiast, że śmierć ukochanego ma jakąś styczność z śmiercią cesarzowej.

Ale jaką i czemu, tego nie umiała sobie wytłumaczyć!

Gdy rybacy w jej obecności przeszukali kieszenie zmarłego, oddali jej gruby skórzany pugilares, w którym zupełnie sucha znajdowała się kartka ze słowami:

— Gdybym nagle miał umrzeć, to wiedźcie, że anarchiści zamierzają zamordować cesarzową austryacką. Ratujcie ją!

Elżbieta pochyliła się, i pocałowała zamknięte na zawsze usta ukochanego, a nazajutrz wracała z jego ciałem do domu, do Rosyi.....

Józefina, Maksymilian i Tritoni oczekiwali jej przybycia, głęboko wzruszeni.

I tam pod Wielkim dębem, na łące, gdzie Feliks tak często szeptał jej słowa gorącej miłości, tam wznosiła się jego mogiła, nad którą Tritoni następujące przemówił słowa:

— Urodził on się pod nieszczęśliwą gwiazdą i miał piętno Kaina na czole! Ale słońce miłości zajaśniało mu, gwiazda nieszczęścia zgasła i piętno Kaina zatarło się, bo szlachetne serce zwycięża zawsze złe skłonności! Nie to jest najważniejsze kim jesteśmy, tylko jakimi jesteśmy, a ten młodzieniec przeszedł czysty i nieskalany brudem życia na inny, lepszy świat!

Niech spoczywa w spokoju! Niech się zbudzi w dzień Sądu Ostatecznego

Koniec.



Przedruk wzbroniony).

SPIEWACZKA LUDOWA

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

5)

(Ciąg dalszy.)

Teresa ucałowała raz jeszcze obrączkę i wsunęła ją na palec.

— Panie dyrektorze, — rzekła, — teraz zacznę oszczędzać i zbierać pieniądze! Nie dziw pan się, nie jestem chciwą i nie pragnę bogactwa, ale muszę mieć pieniądze, aby szukać Henryka! Nie spocznę prędzej, dopóki go nie znajdę! Będę występować i śpiewać co wieczór, aby zarabiać jak najwięcej złota!

— Ależ pani droga.....

— Nie, nie, — przerwała żywo, — ja wiem, jakie mam obowiązki! Dlatego też błagam pana, pozwól mi przyjąć wezwanie Wielkiego księcia Konstantyna! Żąda on, abym wystąpiła trzy razy w Warszawie, ofiaruje mi gościnność w zamku królewskim, i za każdy wieczór tysiąc guldenów! Pomyśl pan tylko, za te pieniądze mogę już nająć trzech agentów, którzy będą szukać Henryka!

— Więc pani chcesz doprawdy odbyć tę daleką i niebezpieczną podróż do Warszawy? — rzekł Rajmund smutnie. — Chcesz się wystawić na rozmaite przykrości i trudy......

— Ja się niczego nie boję! Co mi tam złego może grozić? Walenty pojedzie naturalnie ze mną, a zresztą Bóg mnie też nie opuści! Nie jest to prawdziwie cudownem zrządzeniem losu, że wezwanie Wielkiego księcia nadeszło prawie w chwili, w której się dowiedziałam, że prawdopodobnie Rosyanie znaleźli Henryka i zabrali go z sobą. Ach, głos jakiś wewnętrzny mówi mi, — idź do Warszawy, tam go znajdziesz! — Błagam pana na wszystko w świecie, pozwól mi tam jechać!

— A ja radzę pani z szczerego serca, nie jedź tam! Nie daj się łudzić złotem, jakie ci książę ofiaruje — mam takie przeczucie, że cię tam nieszczęście spotka!

— Boże Wielki! Co ja mam robić! jękła Teresa, załamując ręce.

— Zostań pani tutaj — tu jesteś pod moją opieką, Bóg mi świadkiem, że kocham cię, jak kochałbym córkę albo jak siostrę, gdybym je posiadał.

— O, ja wiem, że pan jesteś moim prawdziwym przyjacielem, — szepnęła Teresa wzruszona. Ale właśnie dlatego powinieneś mi życzyć, abym znalazła moje szczęście, które mi los okrutny wydarł! Daj mi pan dwie godziny czasu do namysłu — rozważę sobie raz jeszcze dokładnie, czy jechać do Warszawy, czy nie — potem przyjdę do pana, albo napiszę......

— Dałby Bóg, abyś pani porzuciła tę nieszczęsną myśl jechania do Warszawy!

Potem odszedł Raimund i Teresa została sama.

Na dworze ciemno już było, pierwsze gwiazdy błysnęły na niebie.

Teresa zarzuciła na głowę dużą jedwabną chustkę, wzięła trochę drobnych pieniędzy i wyszła szybko do sieni.

— Czy mam iść z panią? — zapytał Walenty. — Ciemno już na ulicach!

— Nie, dziękuję — pójdę dziś sama!

Droga, jaką szła Teresa, daleką była i nużącą. Wiodła ona ciasnemi, wązkiemi uliczkami, krętemi przejściami, i nareszcie po upływie godziny, stanęła Teresa u celu, to jest na przedmieściu Hernals. Była to najosławieńsza część Wiednia, ludzie, którzy tu mieszkali, wychodzili zwykle nocą tylko, tak, jak gdyby czyny ich obawiały się światła dziennego.

Obecnie zaczął się już ruch na tej ulicy. Kilku mężczyzn stało przed domami, kobiety szły z tłumokami od roboty, a małe dzieci, nawpół nagie, bawiły się krzycząc wesoło. One nie znały jeszcze smutnego rzemiosła rodziców, i były swobodne i szczęśliwe.

Co kilka domów były knajpy, przez których otwarte okna brzmiała muzyka i śpiewy. Tam nędzarze ci wydawali ostatni grosz, aby przy wódce i muzyce zapomnieć o biedzie i występkach.

Teresa szła teraz prędzej, i stanęła dopiero na ostatniej uliczce, na której końcu znajdowała się stara, nawpół zapadła chata.

Drżącą ręką zapukała do drzwi, ale musiała dosyć długo czekać, zanim ktoś odsunął wewnątrz rygieł.

I potem ukazało się dziwne zjawisko na progu!

Była to stara, pochylona kobieta, o siwych, potarganych włosach, o bardzo długim, zakrzywionym nosie i złowrogo błyszczących oczach.

Na lewem jej ramieniu siedział ogromny czarny kot, na prawem kruk — a gruby kij, jakim się podpierała, uzupełniał ją, jako istną czarownicę z bajki. Taką jędzą straszyły pewnie matki niegrzeczne dzieci!

— Jesteście Ligorą, karciarką z Hernals, nieprawdaż? — zapytała Teresa nieśmiało.

— Tak, jestem Ligorą, cyganką, — odrzekła wiedźma tajemniczo, — siódmą córką siódmej matki — jestem jasnowidzącą i umiem przepowiadać przyszłość! Wejdź pani!

Teresa weszła do wnętrza chaty — ale nie był to pokój, tylko jaskinia jakaś okropna!

Nikt, mieszkający w najskromniejszej nawet izbie, nie byłby myślał, że można żyć w takiej norze! Nikt by ani nie przypuszczał, że coś podobnego istnieje w ucywilizowanym świecie, w stolicy jednego z największych mocarzy europejskich! W takiej to jamie mieszkała sławna na cały Wiedeń wróżka-karciarka, stara cyganka Ligora!

W jednym kącie jaskini leżało kilka trupich głów, na których oswojone szczury biegały i bawiły się — w drugim zaś stała trumna, napełniona słomą. Leżała tam oprócz tego jeszcze poduszka i kołdra.

Teresa zbladła, ujrzawszy te okropne przedmioty.

— Hihihi, — rozśmiała się jędza, — nie miły ci to widok? A ja śpię co noc w tej trumnie, i dobrze mi w niej! I ciebie włożą kiedyś do trumny! Każdego! Każdego!

— Nie przyszłam tu po to, abyście mnie straszyli, — zawołała Teresa rozgniewana, tylko abyście mi przyszłość wywróżyli. Wybieram się w daleką podróż i chcę wiedzieć, czy mam jechać, czy nie! Więc dalej, pokażcie mi, co umiecie, jak daleko sztuka wasza sięga!

— Podaj mi rękę, — rzekła stara odpędzając kruka, który zamierzał właśnie usiąść na ramieniu Teresy.

Przy blasku ognia, płonącego na kominie obejrzała Ligora starannie białą dłoń dziewczęcia.

— Ładna ręka, — szeptała, — miękka, delikatna..... oh, co widzę! Straciłaś kogoś, którego kochasz!

Teresa drżała, jak we febrze. Czyżby ta stara cyganka mogła rzeczywiście czytać w jej losach, jak w otwartej księdze?

— Ta linia — zaczęła znowu Ligora, dotykając ręki, — oznacza sławę, ta — pieniądze, ale ta trzecia — o, ta wiedzie w przepaść! Wolę milczeć!

— Nie, — zawołała Teresa, — powiedzcie mi wszystko! Chcę wiedzieć prawdę, chociażbym się miała dowiedzieć czegoś najgorszego. Więc jakaż to przepaść?

—Zaraz! Najpierw wzniesiesz się pani wysoko, aż do szczytu sławy — ale kochasz pewnego młodzieńca, któremu wielkie grozi niebezpieczeństwo. Widzę szubienicę — koło — widzę kata z toporem, łzy — łzy — ach, strzeż się, strzeż się......

Teresa uspokoiła się teraz już zupełnie.

— Mówi tak, jak wszystkie karciarki, — pomyślała, — strasznemi słowami chce pokryć swoją nieumiejętność! Nie można jej nic wierzyć!

Cyganka badawczo patrzała na nią.

— Mam więcej jeszcze powiedzieć? — spytała.

— Tak — a mianowicie, czy mam jechać, czy nie!

Ligora zdjęła ze ściany jakieś naczynie, nasypała w nie garść ziemi i postawiła na ogień.

— Daj mi teraz dwie krople twej krwi, — rzekła ponuro, i nie czekając na odpowiedź Teresy, ukłuła ją ostrą szpilką w palec.

Teresa chciała się cofnąć i uciekać, gniewało ją bowiem takie postępowanie jędzy, ale zanim zdołała słowo przemówić, zaczęła się z naczynia unosić dziwna jakaś para, ciemna, gęsta, tak, że Teresa nic w koło siebie nie widziała.

I teraz, o zgrozo — czy to była prawda, czy sen — z naczynia podniosła się wolno głowa ludzka!

Była to głowa trupa — a szklane, martwe oczy wpatrywały się w Teresę.

— Dnia trzynastego tego miesiąca, — zaczęły mówić sine usta, — ma być ścięty w Warszawie pewien arystokrata polski. Tylko wierna miłość może go ocalić od śmierci. Imię i nazwisko tego nieszczęśliwego jest — — —

— Henryk! — krzyknęła Teresa śmiertelnie przerażona. — Nie, ty nie umrzesz! Ja cię ocalę!

Potem jak szalona wybiegła z jaskini.

Z szatańskim uśmiechem patrzała cyganka za nią.

— Teraz ona pojedzie, — szepnęła, — a mój wnuk ukochany, który już wysoko stoi, bo gra w świecie rolę barona, i którego ludzie szanują, chociaż jest wnukiem Ligory, będzie zadowolonym z swej babki. Mój Bondi nie napróżno napisał do mnie! Ale jak to dziwnie! Ja miałam iść do niej, tymczasem ona przyszła do mnie! Przepowiedziałam jej to, co słyszeć chciała. Pojedzie naturalnie do Warszawy i zginie tam!

Teresa tymczasem biegła bez tchu do domu.

Henryk w Warszawie — śmierć mu grozi, ma być ściętym za dziesięć dni, a do Warszawy tak daleko! Boże!

— Dziś jeszcze wyjeżdżamy, — zawołała, wpadając do sieni, w której Walenty czekał na nią. — Przygotuj wszystko! Musimy ratować twego pana!

— — — — — — — — — — — — — —

Dwie godziny później opuszczała wygodna kareta podróżna Wiedeń.

Na miękkich poduszkach siedziała Teresa, sama, Walenty zajął miejsce na koźle.

O tej samej godzinie czytał dyrektor Rajmund krótki bilet Teresy, i ciężkie westchnienie wyrwało się z jego piersi.

Bilet ten następujące zawierał słowa:

„Drogi przyjacielu! Odjeżdżam za kilka minut! Proś Boga, abym osiągnęła cel podróży. Jadę do Warszawy, aby ocalić Henryka od haniebnej śmierci z ręki kata!“

„Teresa.“

ROZDZIAŁ VII.

W cytadeli warszawskiej.

Jednem z najokropniejszych więzień, jakie istniały w Europie w połowie przeszłego stulecia, była bezwątpienia cytadela warszawska.

Stare ciemne mury wznoszą się dziś jeszcze nad Wisłą, a wrażenie, jakie wywierają na widzu jest przykre i odrażające. Małe okienka rozrzucone po murach wyglądają jak smutne oczy, które już wszystkie łzy wypłakały.

Cóż dopiero powiedzieć o tem, co się działo po za temi oknami! Wszystko, co najbujniejsza fantazya wyobrazić sobie może, jest niczem w porównaniu do straszliwej rzeczywistości. Ile tam przebrzmiało jęków rozpaczy, ile łez gorących płynęło, ile męczarni przebolało!

Moskale, nie odznaczający się niczem na polu naukowych wynalazków, byli prawdziwymi mistrzami w wynajdywaniu udręczeń moralnych i fizycznych dla nieszczęśliwych uwięzionych Polaków. Każdy żołnierz, każdy dozórca więzienia był katem, a nikt nie przeszkadzał mu w pastwieniu się nad ofiarami.

Cytadela warszawska zbudowaną była na wzór petersburskiej — jedna i druga znajdowały się w środku rzeki i były wodą otoczone tak, że można się było dostać do nich tylko za pomocą pramu lub łódki.

Nie potrzeba zaś dodawać, że liczne straże strzegły wejścia dniem i nocą.

Zwiedzającym Warszawę cudzoziemcom pokazują dziś jeszcze owe okropne więzienia, w których setki Polaków katusze znosiło dla miłości ojczyzny, i każdy wzdryga się mimowoli na widok tych podwodnych lochów, w których wśród strasznych mąk umierał kwiat młodzieży polskiej.

W takim lochu znajdował się obecnie Henryk Orszański.

Blady, zgnębiony, złamany prawie na duchu dwutygodniowym tutaj pobytem, leżał na garści zgniłej na wpół słomy. Dozórca jego, wyjątkowo łagodny człowiek, zdjął mu nawet kajdany, wszakże tu ztąd była ucieczka niemożliwą. Chociażby kto i skrzydła miał, nie wydobyłby się z tej celi! Bo gdyby się komu udało przebić kolosalne mury, zbudowane z kamienia, gdyby zdołał, rzuciwszy się w wodę, przepłynąć Wisłę aż do brzegu, to kule armatnie rozmiażdżyły by każdego, zanim by tylko głowę z wody wychylił. Straże zbyt tu czujne były! — Zresztą Wisła była tu bardzo niebezpieczną. Szalony wir byłby najśmielszego pływaka pociągnął na dno, prądowi wody nie mógł się nikt oprzeć.

Nie, z cytadeli warszawskiej była ucieczka wprost niemożliwą, kto tam raz wszedł, skazany na kilka lat tego żywym nikt już nie widział.

— Jak długo mnie tu jeszcze trzymać będą, — myślał Henryk, spoglądając smutnie w małe, zakratowane okno, leżące tuż nad poziomem wody. — Kiedy mnie wywloką na rusztowanie? Wyrok śmierci już gotowy..... dłużej pewnie, jak dzień lub dwa nie potrwa ta rzecz!

Na dworze szalał wicher wiosenny, a wzburzone fale Wisły podnosiły się tak wysoko, że dosięgały nieraz okienka. Wtedy biała piana pryskała do celi i wilżyła i tak już mokre ściany.

— Jakżebym się cieszył, — szepnął Henryk, — aby dzisiejszej nocy powstała burza i aby woda zalała moją celę. Wtedy Konstantyn nie doznałby przyjemności patrzenia na moją śmierć, a Bondi..... Ah, ten łotr!

I pięści Henryka zacisnęły się mimowoli na wspomnienie tego śmiertelnego wroga.

Nagle otworzyły się małe, w żelazo okute drzwi, i dozórca wszedł do celi.

Był to typowy Rosjanin, wysoki, silnie zbudowany, o surowej, ostrej twarzy i potężnym, podkręconym wąsie. Ale oczy jego miały wyraz przebiegłej dobroduszności — widać było, że chęć zarobku znaczyła u niego bardzo wiele. I rzeczywiście dla pieniędzy, byłby Piotr do piekła poszedł.

Milcząc, postawił przed Henrykiem kolacyą, składającą się z dzbanka wody i kawała suchego chleba, tak twardego, że trzeba go było najpierw w wodzie rozmoczyć!

Potem poszedł szybko do drzwi i położył rękę na klamce.

Henryk nie zważał dziś na niego, tak był zajęty swojemi smutnemi myślami.

Piotr kaszlnął raz i drugi, obrócił się i nareszcie rzekł głośno:

— Chcecie księdza, który ma was przygotować na drogę — na rusztowanie? Jeżeli chcecie,, to Wielki Książę Konstantyn nie odmówi wam tej łaski!

— Jestem mu za to niezmiernie wdzięcznym — odpowiedział Henryk. — Pragnąłbym się z Bogiem pojednać, dla tego proszę, aby mi tu przysłano księdza!

Piotr skinął głową — widocznie rozmowa ta nie była mu przyjemną. Nie mówiąc też już nic, wyszedł z celi i zatrzasnął drzwi silniej, niż kiedykolwiek.

Henryk był znowu sam.



— Chcecie księdza, który ma was przygotować na drogę — na rusztowanie? Jeżeli chcecie, to Wielki Książę Konstantyn nie odmówi wam tej łaski!

— Przyjaciele moi — myślał — opuścili mnie zupełnie! Większa część ich musiała wprawdzie uciekać z Warszawy, ale niektórzy ukrywają się tu jeszcze, i gdyby się tylko dowiedzieli o moim losie, to zpewnością zajęliby się moim ratunkiem! Umarłbym chętnie, bylebym przed śmiercią mógł raz jeszcze zobaczyć ukochaną moją Teresę lub usłyszeć głos jej. Ale daremne życzenia, daremne nadzieje! Nigdy już nie ujrzę Teresy! Ona mnie też uważa za umarłego! Jedyną dla mnie pociechą, że ona bezpieczną jest w Wiedniu! Tam jej żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Tam nie ma księcia Konstantyna i barona Bondi!

Potem zjadł Henryk kolacyą i położył się na słomie, aby we śnie zapomnieć o swej niedoli i rychłej śmierci. Na dworze uciszyło się teraz zupełnie, wicher ustał, księżyc przedarł się przez chmury i oświecał jasno spokojne fale Wisły, noc była jasna i pogodna, raz po raz tylko zaszumiała woda, i zaraz wszystko cichło.

Nagle zerwał się Henryk jak szalony i wyciągnął ręce.

Potem rzucił się ku zakratowanemu oknu — potarł czoło — bo czy to sen był, czy złudzenie.

Ale nie, nie!

Po raz drugi usłyszał to, co mu się we śnie słyszeć zdawało.

Z prawego brzegu Wisły brzmiał cichy słodki głos — była to jego pieśń — jego pieśń:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu
„A całem sercem szczerze ufa Jemu
„Śmiele rzec może: „mam obrońcę Boga
„Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga!"

Henryk drżał jak w febrze. Blizki zemdlenia, przycisnął twarz do żelaznej kraty okna, wytężał wzrok, pragnąc ujrzeć tę, która śpiewała, ale niestety! Było zbyt ciemno, aby na brzegu, pomiędzy drzewami, dojrzeć kogoś.

(Ciąg dalszy nastąpi).





POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENE BAZIN.

18) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIV.

Ostatni wieczór.

Nastąpił ostatni wieczór.

Jan miał zamiar wyjechać nocnym pociągiem z Obernai do Strasburga, ażeby nazajutrz rano, o godzinie siódmej, stósownie do regulaminu, stawić się w koszarach świętego Mikołaja.

Mundur jego niebieski z żółtem, jaki zwykle noszą ochotnicy jednoroczni, zamówiony u pierwszorzędnego krawca w Strasburgu, był już gotowy i rozłożony na dwóch krzesłach, w mieszkaniu, które pani Oberle przed miesiącem wynajęła przy ulicy des Balayeurs, wprost koszar świętego Mikołaja.

Po obiedzie Jan rzekł do matki:

— Pozwól mi, mateczko, przejść się samemu. Chciałbym pożegnać Alsheim, którego nie zobaczę tak prędko.

Pani Oberle uśmiechnęła się do niego czule.

— Ze mną, mój drogi, już się dzisiaj nie zobaczysz — odezwał się pan Józef Oberle. — Jutro mamy 1-go października. Jest to dzień wypłaty i mam dużo zajęcia w biurze; zresztą uważam wszelkie rozczulanie się za rzecz całkiem zbyteczną. Prawda, przez pierwsze dwa miesiące trudno ci będzie o urlop, ale za to z tem większem zadowoleniem wrócisz później do domu. No, uściskajmy się, chłopcze!

Jan uścisnął go serdeczniej, niż sam przypuszczał, i wyszedł, pożegnany świeżym głosem Lucyny, która mu rzuciła te słowa:

— Do widzenia!

Noc była dziwnie wilgotna, bez chmur.

Na niebie jaśniały miliardy gwiazd; księżyc był na nowiu; między niebem a ziemią zwieszała się jakaś mglista opona. Nie pochłaniała ona światła, ale je rozpraszała, tak, że nie było widać właściwie ani cieni, ani miejsc wyraźnie oświetlonych. Jakaś atmosfera, podobna do masy perłowej, otaczała przedmioty.

Powietrze było ciepłe.

— O, jakże słodką jest ta moja Alzacya! — myślał Jan, otwierając drzwi ogrodu warzywnego i wychodząc po za obręb wioski.

Przed nim rozciągała się równina, oblana światłem księżycowem, od czasu do czasu przerznięta cieniem jabłoni, albo drzew orzechowych. Jakaś bezgraniczna tęsknota płynęła z ziemi, przesiąkłej pierwszemi deszczami jesieni. Woń roli, uprawionej pod zasiew, zlewała się z zapachem ściernisk i roślin, które już dosięgnęły najwyższego stopnia rozkwitu. Z gór łagodny powiew wiatru przynosił wonne pyłki jodeł, mięty, więdnących poziomek, borówek i jałowców, zdeptanych stopami trzód i bydła.

Jan z rozkoszą wdychał woń ukochanej Alzacyi; zdawał się nawet wyczuwać przedziwny zapach, płynący z małej góry Florimont, leżącej blizko Colmaru i porośniętej dyptanem. I myślał z żalem:

— To poraz ostatni! Już nigdy! Już nigdy!

Na lewo od ścieżki, którą szedł młody człowiek, wznosiły się ciemne dachy domów; wyglądały one niby ręce bratnim uściskiem złączone, obejmujące kościół; pod każdym dachem Jan z łatwością mógł sobie wyobrazić jakąś osobę znajomą lub przyjazną...

Tak marzył czas jakiś, idąc szarem polem; ale skoro dojrzał grupę drzew, osłaniających siedzibę pana Ksawerego Bastiana, wszystkie jego myśli skupiły się w tym kierunku. Minął górzystą część folwarku, gdzie najmłodszy z synów dzierżawcy powiedział mu niedawno: „najlepiej jest przejść granicę przez Grand-Fontaine“ i wszedł do alei wiśniowej. Słowa Franciszka dźwięczały mu w uszach. Bramę zastał otwartą. Nie było nikogo. Zresztą, cóż go kto mógł obchodzić? Otworzył furtkę w murze i lekkim krokiem szedł brzegiem murawy, ocierając się prawie o klomby drzew aż do oświetlonego okna wielkiej sali, potem okrążył dom i zatrzymał się przed głównemi drzwiami; zaczekał chwilę, wreszcie wszedł do sieni i otworzył drzwi, prowadzące do wielkiej sali, gdzie się co wieczór zgromadzała rodzina Bastianów.

I dzisiaj także wszyscy byli zebrani dokoła lampy, tak jak to sobie Jan wyobrażał. Ojciec czytał gazetę, obie kobiety, siedząc po drugiej stronie ciemnego stołu, przykrytego rozłożoną bielizną, haftowały monogramy na serwetach, mających zapełnić szafę Bastianów.

Drzwi się otworzyły bez hałasu, a jednak w mieszkaniu i na dworze panowała taka cisza, że wszyscy odwrócili głowy, przymrużając oczy, aby lepiej dojrzeć przybysza.

Chwilę trwała niepewność gospodarza i wahanie się Jana, który spojrzał najpierw na twarz Otylii i zrozumiał odrazu, że ona też przecierpiała dużo, podobnie jak on; i teraz ona jedna go tylko poznała. Zbladła straszliwie, a podniesiona ręka, oddech i spojrzenie zdawały się zamarłe. Serwetka, którą haftowała, wypadła z jej ręki, ale się nie schyliła aby ją podnieść.

Prawdopodobnie wtedy dopiero p. Bastian poznał gościa.

Ogarnęło go wzruszenie.

— Jakto? — zapytał łagodnie — to ty, Janie? nikt cię nie wprowadził? Co tu robisz?

Położył gazetę na stół i uważnie się wpatrywał w młodzieńca, stojącego w cieniu, o parę kroków od drzwi.

— Przyszedłem się pożegnać — rzekł Jan.

Głos jego był tak złamany, że p. Bastian zrozumiał, iż w życiu młodzieńca zaszło coś nieprzewidzianego, coś tragicznego. Powstał z krzesła i rzekł:

— Istotnie, jutro mamy 1-go października. Idziesz do koszar, mój biedny chłopcze. Chcesz zapewne ze mną pomówić?

Pomimo swej ociężałości, żywo podszedł ku drzwiom i uścisnął dłoń Jana, który go pociągnął za sobą w najciemniejszy kąt pokoju i z oczami utkwionemi w oczach ojca Otylii cichym głosem odpowiadał na jego zapytania.

Pani Bastian patrzyła na nich, ale widziała tylko jakąś niewyraźną grupę.

— Odjeżdżam, panie Bastian — szepnął Jan — i nigdy już nie wrócę. Dlatego tylko pozwoliłem sobie przyjść tu dzisiaj.

Uczuł, jak szorstka ręka Alzatczyka zadrżała. Podczas tej tajemniczej, szybkiej, urywanej rozmowy, obie kobiety, pełne niepokoju, powstały z krzeseł i oparły się rękami o stół, pochylone naprzód.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Wrócisz za rok?

— Nie. Wstępuję do pułku, ponieważ obiecałem to matce. Ale go porzucę.

— Porzucisz go?

— Pojutrze.

— Dokąd idziesz?

— Do Francyi.

— Na zawsze?

— Tak.

Stary Alzatczyk się odwrócił.

— Rozmawiajcie, kobiety, rozmawiajcie, my tu mamy interes do załatwienia.

Obie podniosły się, ale milczały. Staremu brakowało oddechu, jak po śpiesznym biegu. Mówił dalej przerywanym głosem:

— Pomyśl dobrze o tem, co masz zrobić... Bądź ostrożnym... Nie daj się wziąć!...

Położył obie ręce na ramionach Jana.

— Ja, widzisz, ja tu zostaję. To jest mój sposób kochania Alzacyi. Nie widzę lepszego. Tu będę żył, tu umrę. Ty, mój chłopcze, jesteś postawiony w odmiennych warunkach, rozumiem ciebie... Staraj się, ażeby się kobiety niczego nie domyśliły... to jest zbyt ważne... Czy nikt z twoich o niczem nie wie?

— Nie.

— Dochowaj tajemnicy.

Potem dodał ciszej:

— Chciałeś ją widzieć. Nic gniewam się o to, ponieważ nigdy się więcej nie zobaczymy.

Jan skinął głową, co miało znaczyć.

— Tak, chciałem ją zobaczyć.

— Popatrz na nią chwilę, a potem odejdź. Stań tam, za mną.

Jan spojrzał na Otylię poprzez ramię starego Bastiana i widział, jak oczy młodej dziewczyny, z początku niespokojne, teraz stawały się coraz więcej przerażone. Wytrzymała jego spojrzenie. Była wyłącznie pochłoniętą treścią tej rozmowy, której nie słyszała, i tą tajemnicą, która czuła to dobrze, odnosiła się do niej! twarz jej zdradzała najwyższe cierpienie.

— Co oni mówią? Czy zaszło coś jeszcze gorszego? A może coś lepszego? Nie, nic lepszego, bo nie patrzą na mnie razem.

Matka zbladła jeszcze więcej, niż córka.

— Żegnaj mi, mój chłopcze — rzekł cicho pan Bastian. — Kochałem cię bardzo, nie mogłem jednak postąpić inaczej. Szanuję cię i będę o tobie pamiętał...

Łzy mu stłumiły mowę, ściskał dłoń Jana w milczeniu i po chwili puścił ją wolno.

Jan poszedł ku drzwiom, był drżący i zmieszany. Obrócił się po raz ostatni... przecież odchodził zupełnie... za chwilę zniknie dla nich na zawsze... już nigdy nie wróci do Alsheimu.

— Żegnam cię, pani — wyrzekł.

Chciał także pożegnać Otylię, ale stłumione łkanie nie pozwoliło mu wyrzec słowa. Wybiegł na ciemny korytarz, a odgłos jego szybkich kroków dochodził do sali.

— Co to znaczy? — zapytała pani Bastian. — Ksawery, ty coś ukrywasz przed nami!

Stary Alzatczyk płakał.

Domyśliła się wszystkiego. Uprzedzenia jej zniknęły.

— Otylio — zawołała — biegnij z nim się pożegnać.

Otylia już biegła przez salę; dogoniła Jana koło węgła domu.

— Błagam cię — prosiła — powiedz, jakie cię nieszczęście spotkało.

Odwrócił się ku niej, ale postanowił nic nie powiedzieć i dotrzymać przysięgi. Stała tuż przy nim. Otworzył ramiona. Rzuciła mu się na szyję.

— Boże! — zawołała z rozpaczą w głosie. — Odjeżdżasz! Przeczuwam to! Odjeżdżasz!

Całował jej włosy gorąco, serdecznie, na całe życie, i uciekł, ginąc w mrokach nocy.

ROZDZIAŁ XV.

Wstąpienie do pułku.

O trzy kwadranse na siódmą Jan Oberle szedł wzdłuż stajen dawnych koszar francuzkich świętego Mikołaja, zbudowanych z czerwonej cegły na miejscu byłego klasztoru; dziś Niemcy nazywają te koszary „Nikolaus-Kaserne.“ Zatrzymał się przed bramą wchodową z krat żelaznych podłożonych blachą; środkową furtkę znalazł otwartą; tu skłonił się dyżurnemu podoficerowi, zamienił z nim kilka słów i połączył się z gromadką ochotników, stojących w głębi podwórza. Było ich może ze dwunastu. Stali prawie pod zegarem ogromnej trzypiętrowej fasady, a jej podmurowanie wodno zielonej barwy za tło im służyło...

Przez podwórze wielkie, pełne kurzu, przechodzili co chwila oficerowie, ubrani w mundur codzienny: kurtka błękitna, spodnie czarne, płaska czapka.

Mały oddział konnicy, z lancą przy ramieniu, stał na lewo, wzdłuż stajni, czekając z wymarszem na rozkaz oficera.

— Panie sierżancie! — rzekł Jan, zbliżając się do podoficera, który stał przed gromadką młodych ludzi — jestem jednym z ochotników.

Podoficer z miną równie nadętą, jak pretensyonalną, z twarzą pospolitą, w wyszukanem ubraniu, z bardzo długiemi czarnemi wąsami, które niustannie pokręcał, zapytał go o imię i nazwisko, zaglądając równocześnie do listy trzymanej w ręce.

Wyprostowany, w opiętym mundurze w głębi ducha onieśmielony przypuszczalnym majątkiem nowych szeregowców, z czem się jednak przed nimi zdradzić nie chciał, mierzył od stóp do głowy każdego przybywającego, jakby poszukując w nim jakiejś wady, braku, wogóle czegoś, co ośmiesza cywilnych w oczach podoficera. Po skończonym egzaminie wyrzekł:

— Stań pan przy innych.

Ci inni byli po większej części Niemcami, przybyłymi, sądząc po typach, ze wszystkich dzielnic państwa. Wystroili się po raz ostatni przed włożeniem munduru, aby pokazać towarzyszom broni, że należą do bogatych rodzin. Błyszczały ich lakierki, jaśniały świeżością rękawiczki glansowane, żółte lub czerwone, mieli też modne krawaty przepięte kosztownemi szpilkami. Każdy z nich przedstawiał się innym ochotnikom.

— „Pozwól pan, że się przedstawię: jestem Führbach. Jestem Blossman!“

Jan nikogo z nich nie znał. Składał im ukłon, ale nazwiska swego nie wymieniał. Co go obchodzili ci ludzie, z którymi jeden dzień tylko miał spędzić?

Stanął po lewej stronie gromady i daleko odbiegł myślą od koszar św. Mikołaja; tymczasem koło niego kilkakrotnie powtórzono pytanie: „Kto to taki? Alzatczyk zapewne.“ Kilka twarzy rozjaśnił uśmiech, lecz odezwała się też głucha rywalizacya rasowa; kilka postaci wyprostowało się, zmierzyło nieznajomego zimnem i ostrem spojrzeniem błękitnych oczu...

Przybyło jeszcze dwóch młodych ludzi. Godzina wybiła i sierżant na czele piętnastu ochotników wszedł do półokrągłej bramy koszar, a potem na drugie piętro do sali oględzin lekarskich. O godzinie ósmej ochotnicy zebrali się znów na podwórzu, ale teraz już nie stali według upodobania; tworzyli dwa szeregi pozostające pod ścisłym dozorem sierżanta. Czekano na pułkownika. Sąsiadem najbliższym Jana był syn przemysłowca z Fryburga; chłopak wysoki, bez zarostu, z żywemi oczami, twarzą jasnowłosego dziecka, ale już przeciętą dwiema bliznami, jedną przy nosie, drugą przy prawem oku: pamiątki pozostałe po dwóch pojedynkach studenckich. Milczenie, zadumę Jana Oberle wziął za nieśmiałość, wzbudzoną nowem otoczeniem, i zaraz mu ofiarował swoje usługi, jako przewodnik, i gdy Jan, z rękami w tył założonemi z twarzą bladą i poważną patrzył przez kratę na mieszkańców Strasburga, idących ulicą w promieniach słońca październikowego, on usiłował zająć go szczegółami, dotyczącemi koszar i ich mieszkańców.

— Szkoda — mówił — że pan nie poszedł za moim przykładem, mnie już przedstawiono kilku oficerom. Znam nawet kilku kwatermistrzów. Patrz pan, teraz wychodzi ze stajni wachmistrz Stübel, dobrze je, dobrze pije, i dobry z niego kolega; a ten drugi w końcu podwórza z rudemi wąsikami, który teraz nam się przygląda uważnie, widzisz go pan? To Godfryd Hamm, szkaradny człowiek... znasz go pan?...

— Tak.

— Baczność! — zakomenderował sierżant. — Stój!...

I żywo wysunął się o dziesięć kroków naprzód, poczem przystanął z głową podniesioną, z ramionami opuszczonemi wzdłuż ciała, trzymając w lewej ręce szablę poniżej rękojeści.

Spostrzegł właśnie oficera krępego na cienkich nogach, w szarym płaszczu. Był to pułkownik. Sangwinik, ruchliwy, bardzo dobry jeździec, energiczny, włosy miał czarne i oczy surowe, siejące postrach wśród podwładnych. Szedł krokiem pewnym.

Na jego widok rozproszyli się w mgnieniu oka huzarzy, błąkający się wzdłuż murów po słonecznem podwórzu. Pułkownik zatrzymał się przed pierwszym szeregiem młodych ludzi, przyszłej nadziei, rezerwy armii niemieckiej.

— Panie pułkowniku! — rzekł sierżant — oto ochotnicy jednoroczni.

Pułkownik zmarszczył brwi i mierząc każdego od stóp do głowy, przemówił tonem bardzo surowym:

— Należycie do uprzywilejowanych! Dzięki wykształceniu, któreście odebrali, służyć będziecie rok jeden tylko. Okażcie się godnymi waszego wyjątkowego stanowiska, bądźcie przykładem dla innych żołnierzy! Pamiętajcie, że kiedyś nimi dowodzić będziecie. Żadnego uchylania się od karności! Żadnych zmian w przepisanym mundurze! Nie macie prawa ani na chwilę ukazać sie w ubraniu cywilnem! Karać będę surowo!

(Ciąg dalszy nastąpi.)